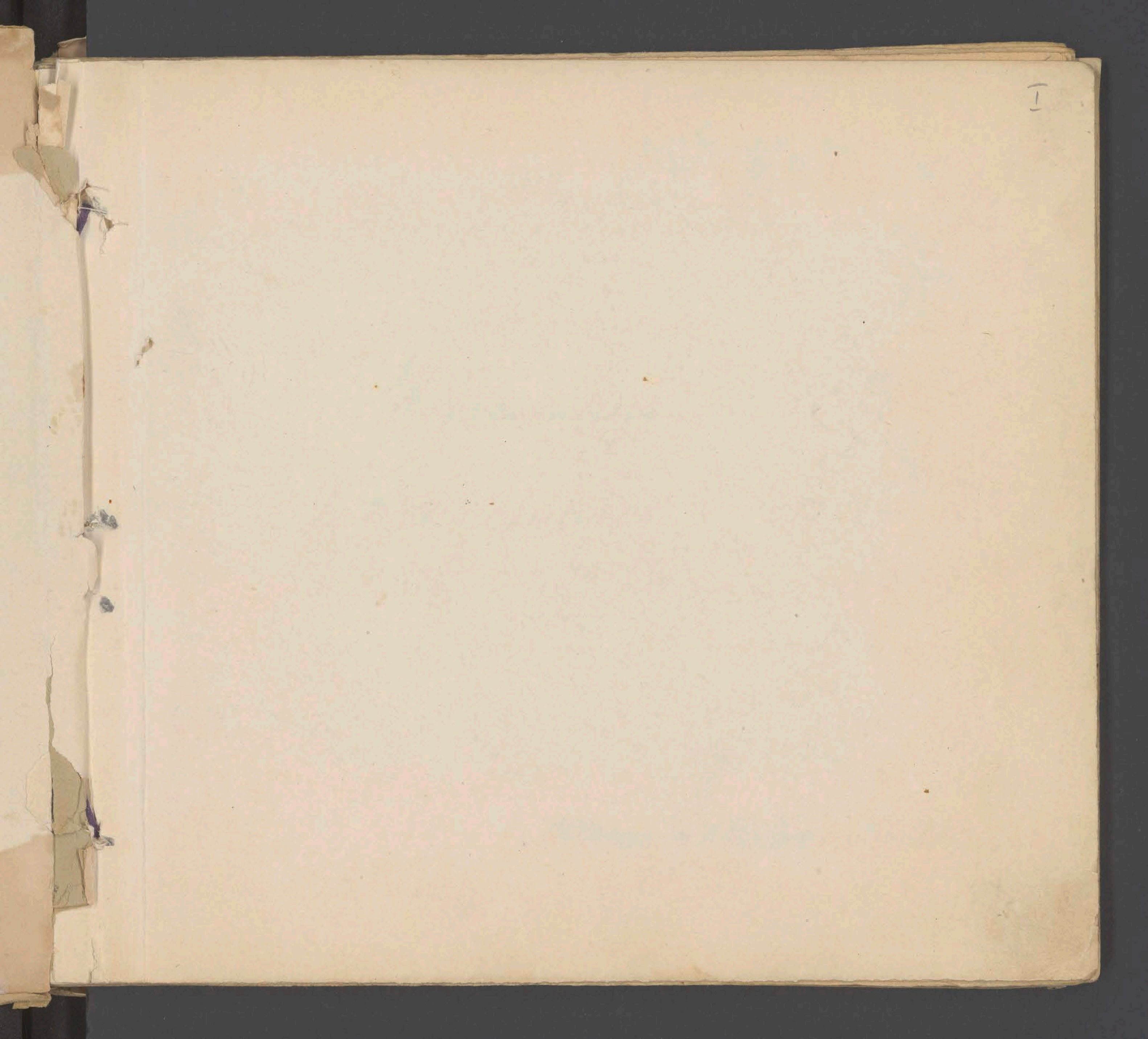
Lata dziecinne.

I.



Wspomnienia

z lat dziecinnych

spisała

Marya z Mohrów Kietlińska

Los na mój wiek dziecięcy rzucił swoje blaski
Zdradnie, na później zachowując cienie...
Wszystkie jego uśmiechy i jego niełaski
Przetrwałam
I w starości koszę ich wspomnienie.

1.

Wstęp.

Od lat kilkunastu nawiedzona kalectwem postępującej ślepoty, wreszcie od lat 8 przykuta do łóżka, znosiłam swoje bóle fizyczne względnie dość wytrwale, ale gdy mnie począł nawiedzać gość, dotąd w mojem czynnem życiu mi nieznany, szara nuda, zatrwożyłam się niemało. Wprawdzie i zupełnie ślepi uczą się różnych ręcznych robót i wykonują je zręcznie, ale inaczej jest, jeśli idzie o zachowanie choćby resztek zanikającego wzroku. Zachęcona przez kuzyna i przyjaciela mojej rodziny, Jana Kucharzewskiego do spisania wspomnień z lat przeżytych, w 76 roku życia chwyci-

VI

tam się tej myśli z ochotą. Zajęcie umysłowe skraca mi czas i choć chwilowo daje zapominać o ciężkich kalectwach moich. Życie nie poskąpiło mi momentów, szarpiących duszę i nerwy, tych jednak, - choć właśnie one tylko mogłyby zająć czytelnika - opisywać nie zamierzam, nie chcąc przy schyłku życia poić się goryczą. Wolę pisać o jaśniejszych dniach dzieciństwa i młodości i wspomnieniami temi odpędzić wiedźmę - nudę, by nie popaść w narzekanie przeciw losowi, jaki mi Bóg przeznaczył a przeciwnie, wzbudzić w sobie wdzięczność za wszystko dobre, czem mnie Bóg łaskawie darzył przez długie życie. Miałam dobrych i szlachetnych rodziców i rodzeń-

stwo, zacnych krewnych i przyjaciół wiernych, byt materyalny dobry, najprzyjemniejsze stosunki towarzyskie, więc nie narzekam na cienie, od których żadne życie ludzkie nie jest wolne.

Jak na wiek sędziwy zachowałam wierną pamięć, a czego nie zapamiętałam sobie sama, wiem z dopowiedzeń rodziców i rodziny. Na styl się nie sadzę, bo czas życia już skąpy, piszę więc nie po literacku, ot tak, jak mi się coś nasunie pod ołówek dziech to będzie obrazek z epoki mojej, skromny i bezpretensyonalny, ale zato prawdziwy. Na czytelników licznych nie reflektuję, chyba jakiś zbieracz starych szpargałów kiedyś coś dla siebie znajdzie w mojej ubogiej kroniczce a jeśli ktoś rozwe-

seli się chwilowo mojemi przeżyciami albo śmiać nad niemi – jedno i drugie będę uważał za wynik dodatni w stosunku do mojego pamiętnika.

1.

Rodzina Mohrów pochodzi z Węgier. Dziadek mój ś.p. Michał Mohr rodem z miasta Ujhély przybył do Polski w samym początku XIX w. i założył aptekę w Józefowie nad Wisłą w Województwie Lubelskiem, będącem wówczas zajętem przez Austryę. Ożeniony był z panną Haug z Bielska na Śląsku. Z tego związku było dzieci ośmioro, trzech synów i pięć córek. Ojciec mój ś.p. Michał Mohr był najstarszym z rodzeństwa, urodził się w Józefowie 12 grudnia 1804 r. Rodzina Mohrów była wyznania ewangielickiego. Dziadek mój przeniósł się później do Krakowa; zapewne skłoniła go do zmiany miejsca pobytu koniecz-

nosić kształcenia dzieci. Założył aptekę na Kazimierzu przy ul. Krakowskiej, która naówczas była jeszcze zamieszkałą przez chrześcian, posiadających tam swoje własne domy jak n.p. rodziny mieszczańskie Łynków, Siweckich, Schauerów, Windischbauerów, Kaczkowskich i.w.i. a jeden dom i to największy narożny z jednym frontem na pl. Wolnica był własnością ks. Stanisława Jabłonowskiego. Dziadek mój kupił też dom duży, 2 piętrowy, z wielkiem podwórzem. Kamienica miała drugi front 1 piętrowy od ul. Augustyańskiej z widokiem na kościół św. Kataryny, będący naówczas w ruinie i na klasztor O.O. Augustyanów. — Dziadek mój, owdowiawszy,

pojął w małżeństwo powtórnie p. Sobieniowską, Kra-
kowiankę. Żył z nią niedługo, gdyż umarła
pozostawiając córkę Józefę (później Janową
Kucieńską) Owdowiawszy, po raz ~~wtóry~~ trzeci, ożenił się
z p. Czechówną ze znanej zaszczytnie rodziny
w Krakowie; z tej żony miał syna i córkę.
Można powiedzieć że dziadek mój miał szczęście
w wyborze żon; nie szukał majątku i trafiał
na kobiety wzorowe, umiejące wychować swoje
i przybrane dzieci prawdziwie po chrześcijańsku
na ludzi pożytecznych w społeczeństwie. Wszys-
cy, z wyjątkiem najmłodszej córki Wiktorji
Kungowej, dożyli wieku podeszłego, w najlepszej
zgodzie i nie zamąconej nigdy harmonii,

mimo odmiennego wyznania, gdyż dzieci troje było, jak ostatniej drugiej żony dziadka, religii rzymsko-katolickiej. — Dziadka mojego nie pamiętam; miałam lat 4 kiedy umarł nagle w r. 1847. przypominam go sobie jednak cokolwiek, siedzącego w wielkim fotelu, bardzo otyłego, jak mnie pogłaskał po głowie i obdarzył cukierkiem w jakiemś czerwonem opakowaniu, a raczej rurce, zawierający maczek cukrowy. Wkrótce po tej ostatniej mojej bytności dziadek umarł. Dzień jego pogrzebu utrwalił się w mojej pamięci tem, że pod niebytność rodziców i starszej służby naszej, która poszła na pogrzeb, ja zostawszy pod opieką poczciwej naszej nadwornej krawcowej Elusi Bensdorfówny, upadłam przez małego pieska,

który mi się zaplątał pod nogami i straszliwie zbiłam sobie nos. Przestrach biednej Elesi, odpowiedzialnej za moją całość, a cóż dopiero rodziców moich, którzy mnie zastali zalaną krwią, był wielki i dopiero zbadanie przez kochanego ojca całości nosowej chrząstki uspokoiło burzę.

Dom mojego dziadka Mopra

Liczna rodzina dziadka mojego zajmowała całe Mnie I piętro. Na parterze była apteka i należące do takowej materjalnia i składy. Godłem apteki był Murzyn, który przetrwał się do dnia dzisiejszego (1918r) w całości nad apteką będącą w domu sąsiednim, dziś l. orjentacyjna

Dziadek mój, jak wiem z opowiadań krewnych i znajomych starszych, był bardzo urodziwym, najczystszym typem madziarskim, pięknym też był za młodu postawy. Szkoda że nie pozostał po nim portret, oprócz udatnej miniatury, malowanej na kości; droga to dla mnie pamiątka. Wnoszę z tej podobizny że musiał to być człowiek wielce rasowy; głowa charakterystyczna, oblicze pełne energii, zwłaszcza oczy czarne o iście orlem spojrzeniu. Stąd dziwnem też mi się wydaje że tak łatwo znajdywał równie piękne żony, nie zrażające się liczną dziadka progeniturą i bądź-co-bądź ciężkiemi obowiązkami, spadające-mi na macochy. Tu nadmienić muszę że te

zacne kobiety szanowane, kochane przez swoich pasierbów i pasierbice, najwdzięczniejszą po sobie pamięć w ich sercach zaskarbiły.
Dziadek mój nietylko pięknym, ale prawym i zacnym był człowiekiem; ogólnie lubiany, piastował też różne urzędy honorowe w gminie.
Domy ówczesnych mieszczan inteligentnych w Krakowie słynęły z gościnności i dom dziadka Mohra postawiony był na stopie dostatku i dobrego tonu. Nadzwyczajna taniość ułatwiała życie niemal wykwintnie. Dziadek, osiadłszy w Polsce stał się smakoszem, zaniechał narodową węgierską kuchnię prawie zupełnie, tak, że oprócz gołąbków t. j. liści kiszonej kapusty duszonej z farszem z wie-

porowiny, (i win) grzybowej potrawy, która tradycyjnie w trzeciem pokoleniu naszej rodziny dotąd jest lubianą. Inne ostro pieprzykowane potrawy na stole się nie pojawiały. Dobry ten człowiek tyle miał zalet, że mu słabostkę przyprawiania sosów pod osobistym jego dozorem chętnie wybaczano. Opowiadano mi, jak dziadek, wyczytawszy w jakiemś francuskiem piśmie o potrawie z kogucich grzebieni (!) zarządził natychmiast istną „rzeź niewiniątek" w kurniku, sam się wziął do gotowania tego przysmaku, co wykonał ze ściśle aptekarską skrupulatnością. Gdy potrawę podano na stół, wszyscy zjedli sos wyborny z francuskiem winem, zostawiając grzebienie na

talerzach, były bowiem, choć z młodych kurcząt, zupełnie twarde. i cała rodzina choć obdarzona młodemi i dobremi zębami pogryźć ich nie mogła. Autor nieudanej potrawki - zżymał się na dzieci że grymaszą, że się nie znają na tem co dobre i t. p., sam dla podtrzymania honoru - zjadł sporo co podobno wywołało u niego zaburzenia żołądkowe
2 we... —

Kiedy córki już dorosły wziął dziadek na czas jakiś dobrego kucharza, a potem cukiernika do domu, aby wtajemniczył panny w arkana sztuki kulinarnej i cukierniczej, to też kochane ciotki moje znały się wybornie na kuchni i same na swoich później gospodarstwach wykorzystały pros-

żaczków wiejskich na doskonałych kucharzy lub kucharki, co już sama poświadczyć mogę, gdyż dużo smacznych kęsków zjadłam z tej szkoły.

Dziadek, choć ewangielik, żył w dużej przyjaźni z księżmi inteligentniejszymi z sąsiednich klasztorów, jakoto z Augustyanami, Paulinami i Bożociałkami (tak zwano Kanoników Late-rańskich od Bożego Ciała) lubił ich podejmo-wać wybornem winem z Węgier sprowadzanem, którego był znawcą nielada.

Sądzę, że dużą atrakcyą domu Mohrów było pięć dorodnych córek, wychowanych starannie, dobrych, miłych panien. Z wyjątkiem najstarszej

Karoliny, która została panną i przez lat kilka była nauczycielką dwóch córek bankiera krakowskiego (Wincentego) Kirchmayera, późniejszej hr. Łosiowej i i panny Franciszki, wszystkie Mohrówny wyszły zamąż. Emilia za pastora Filipka w N. Sączu. Eleonora za aptekarza Aleksandra Genersicha w Kieżmarku na Spiżu, Józefa za właściciela dóbr Wierzbica w Proszowskiem, Jana Kucieńskiego, mieszkającego w donacyjnej dzierżawie Szczepanowice w Miechowskiem i najmłodsza Wiktorya za Aleksandra Rungego, inżyniera w N. Sączu. Najstarszy syn a ukochany mój ojciec Michał Edward Mohr dr. med. i chir. długoletni fizyk stoł. miasta Krakowa, ożeniony z Marya z Ke-

mańskich, Karol, profesor chemii w szkole technicznej i aptekarz w Krakowie ożeniony z Józefą Schöpffówną ze Lwowa, trzeci, najmłodszy Tomasz, inżynier górniczy, bezżenny. W moich wspomnieniach powrócę jeszcze poszczególnie do tych ukochanych ciotek i stryjów, których znałam, bo wszyscy, oprócz ciotki Kungowej, doczekali wieku sędziwego. —

Ś. p. ojciec mój dr. Michał Mohr nabył w końcu ~~drugiej~~ pierwszej połowy XIX wieku ruderę domu przy placu św. Ducha i takową z gruntu zabudował. Urodziłam się w tym domu, którego jedyne piętro rodzice moi zajmowali, dn. 12. kwietnia 1843 r. Między mną a

młodszym bratem Edwardem było lat 6 różnicy, stałam się też podobno odrazu pieszczochą całej rodziny i domowników. Wspomnienie moje najwcześniejsze sięga r. 1846-go. Zapamiętałam tylko w rodzinnym domu naszym jakiś, krzywy pokój, w którego oknie wysoko wisiał domek pustelnika, wychodzącego na pogodę do koryta na modlitwę a chowającego się w czasie słoty do domku. Był to dawniej tak ogólnie używany barometr. Marzeniem mojem, pierwszem zapewne w mojem życiu, było zbadać tajniki tego mechanizmu, więc niemało guzów nabiłam wspinając się po krześle do okna, zawsze nadaremnie, gdyż pustelnik mieszkał wysoko.

W r. 1847 przenieśliśmy się do pałacu wuja mojego

Piotra Steinkellera, (który miał za żonę stryjeczną siostrę
matki mojej Maryję Lemańską.) Budynek ów
zwrócony frontem do plant a bokami do ul. św. Scho-
lastyki (dziś św. Marka) i Różanej (dziś św. Toma-
sza) z dwoma ładnemi ogródkami odgraniczone-
mi od plant żelaznemi sztachetami, o korpusie środ-
kowym z dwoma bocznemi pawilonami, wystawiony dla
użytku własnego przez bardzo zamożnego bankiera
i ekonomistę Piotra Steinkellera x zasługiwał
w owczas na miano pałacu. Wewnętrzne urządzenie
świadczyło o dobrym smaku właściciela. Środek gmachu
zajmowała wielka sala balowa, z której było wyjście
do oranżeryi, starannie utrzymywanej. Były tam drze-
wa cytrynowe i pomarańczowe, kamelie i inne
rzadsze rośliny. Z oranżeryi schodziło się po szerokich

schodach na planty. ale o ile pamiętam drzwi na te schody były zawsze zamknięte i nigdy poza obręb domu z tej strony nikt nie wychodził na publiczną promenadę. Zamieszkaliśmy w bocznej części głównego korpusu, ale wujostwo pozwolili nam korzystać z całego ~~szego~~ szeregu przepięknych pokoi, gdyż sami mieszkali w Warszawie tylko kilka razy do roku zjeżdżali do Krakowa. Stała i wierna służba utrzymywała wszędzie wzorowy porządek. W tej pięknej rezydencji upływały moje lata dziecinne; stąd wyniosłam moc wrażeń, które utkwiły mi w pamięci na długie moje życie. Lato całe spędzałam w ogródkach, którymi ojciec mój z zamiłowaniem się zajmował. Było w nich wszystko co oko i smak x cieszyć mogło. Na pobielonych ścianach pięły się pod dach

wyborne winogrona, morele i brzoskwinie, innych owoców w najlepszych gatunkach dostarczały niezbyt liczne ale doborowe drzewa i moc pięknych kwiatów. Stąd wyniosłam moje pierwsze wiadomości botaniczne, o wiele wszechstronniejsze niż je znajduję w dzisiejszej młodzieży, uczącej się z szkolnych książek mozolnie o każdej żyłce i łodydze listków a nie umiejącej odróżnić malwy od róży, goździka od bratka, co mnie dziś jeszcze irytuje.

Zimą areną moich zabaw z towarzyszkami była wielka sala balowa, w której stała przepiękna szafa grająca dźwięczne dla ucha wyjątki z oper włoskich, walce Lannera i Straussa i pieśni polskie. Był to mebel mahoniowy, sięgający sufitu, o drzwiach w misterne à jour arabeski, podłożone szafirowym

atłasem. Obeznany z mechanizmem stary lokaj Wojciech miał pod swoim dozorem ogromne walce czyli miły i na nasze prośby zawsze chętnie takowe wsuwał do szafy i zaraz rozlegały się harmonijne tony tego pięknego instrumentu; były one podobne do dzwonków włoskich campanilli a także do tak zwanego Glockenspielu w Salzburgu. Ileż to była piękniejsza melodya od dzisiejszych gramo i patefonów, wydających przekrzyczane głosy wyrenomowanych div i tenorów. — W tym miłym, ustronnym domu, toniącym w zieleni, gdyż i poza plantami (dziś ul: Hr. Potockiego) były parterowe dworki z obszernemi ogrodami, w własności Szpaków, Delavaux, Zdziniakowskich, Steklików i innych.

upływały szczęśliwe lata mojego dzieciństwa,
ale, że, - jak mówi ks. Skarga - „życie ludzkie to
miodu łyżka a żółci beczka." mnie także, choć
kochanemu i pieszczonemu dziecku przyszło prze-
żywać dni trwogi i smutku, w tem środowisku
tak uroczem. Ale nie uprzedzajmy wypadków. —
Rodzina moja, obdarzona z łaski Boga dobrem zdro-
wiem nie potrzebowała odwiedzać miejsc kąpielo-
wych ani letnisk, rzadko tylko z powodu utrud-
nień paszportowych na ówczas, odwiedzaliśmy
w Miechowskiem siostrę ojca mojego. Kraków,
niebyt ludny, otoczony wieńcem plant, poza
któremi mnóstwo było ogrodów prywatnych, miał
powietrze dobre, mimo, że porządek i czyszczenie
miasta wykonywali starsi już ludzie z domu

roboczego, który się mieścił przy ul: Garbarskiej.
Pamiętam, jak baby zasiadłszy w kucki wyrywały
z bruku kozikami trawę w ul: św. Scholastyki
(dziś św. Marka) i sprawiały gadatliwością swoją
jazgot niemały, dający nam się dobrze we znaki.
Kochana matka moja, lubiąca spokój
zadziała sobie z babami w ten sposób w razie fortissima, że przez okno od kuchni podawać im
kazała miskę z bobem a w dni upalne ogórki
kwaśne lub cośkolwiek do jedzenia, co dogadzało
matce mającej zawsze wielkie współczucie dla
wszelkiej biedoty i zapewniało chwile pożądanej
ciszy. Skutek tych traktamentów był taki, że baby coraz głośniej jazgotały, zerkając w stronę
dobroczynnego okna... — Dobra matka moja

wielce była dobroczynną, lecz nie była jej dobroczynność szablonową; nie należała (oprócz Tow. Dobroczynności, którego członkami byli oboje rodzice moi) do żadnych komitetów, składek i przedstawień na cele dobroczynne, lecz sama z własnej kieszeni wspomagała potrzebujących, leczyła ubogich chorych, własną ręką opatrując nieraz wstrętne ich rany. Nie szczędziła nigdy trudu dla polepszenia bytu biedaków różnych, czyniąc dobrze bez rozgłosu. Pamiętam jak wzięła mnie z sobą do osoby, która z zamożności wskutek lekkomyślności męża w skrajną popadła nędzę, o czem matka moja dowiedziawszy się, choć była to nieznana jej osobiście kobieta, zaraz pospieszyła zbadać tragiczną jej sytuację. Po-

szłyśmy więc na ul: Lubicz, gdzie w domu pastoro-
wym (dziś hotel Europejski) w zupełnie nieumeblo-
wanej, wielkiej, brudnej izbie leżała niemłoda już
kobieta na podartym sienniku, z nędzną podusz-
ką pod głową, okryta jakimś wytartym płaszczy-
kiem; twarz miała wychudzoną i wypieki na po-
liczkach. Przy sienniku siedziała na ziemi biedna
dziewczynka, może 3letnia, bawiąc się kolorowe-
mi papierkami. Chora, widząc wchodzących nas
usiłowała się podnieść, lecz sił jej widocznie nie
starczyło. Nie było krzesła, więc matka moja na
skraju siennika usiadła i wziąwszy kobietę za rękę
poczęła mówić do niej łagodnym głosem; chora
cichym, wzruszonym głosem dziękowała za odwiedzi-

my. Uderzyło mnie to, że rozmowa dalej toczyła się po francusku, przerywana kaszlem chorej; miałam wówczas lat 6 i dobrze już mogłam zrozumieć, lecz nie słuchałam, zapatrzona w ładną dziewczynkę czułam że serce mi biło mocno i trwoga mnie ogarniała. Zapewne przez wzgląd na zmęczenie chorej nie bawiłyśmy długo; odchodząc, matka zapytała chorej czy pozwoli wziąć małą aby trochę po naszym ogródku pobiegała lecz chora rzekła: dziękuję z całego serca, ale zostaw mi Stasię dobra pani, i tak niedługo cieszyć się nią będę.... Wychodząc, widziałyśmy odskakującą jakąś brudną dziewuchę, która widocznie zaciekawiona naszemi odwiedzinami chorej podsłuchiwała

pod domiami. Matka wcisnęła jej w rękę jakiś datek, prosząc ją aby chorej doglądała. Matka ocierała oczy, ja też dziwnie ściśnięte miałam serce choć byłam głuptaskiem jeszcze, jednak ciekawość dziecinna przemogła, i kiedyśmy były już na plantach zapytałam kto jest ta chora kobieta? Jest bardzo cierpiąca i nieszczęśliwa, trzeba się za nią pomodlić moje dziecko, odparła matka, jakoż wstąpiłyśmy na chwilę do kościoła św. Krzyża. Zaraz po powrocie do domu matka poczęła szperać po szafach i kufrach wyjmując bieliznę rozmaitą; zniesiono ze strychu wygodną sofę, parę krzeseł i stolik. Na wezwanie pojawiła się nasza poczciwa, dawna niania, szewcowa ze Zwierzyńca, Zofia Pomiechowska, w ważniejszych sprawach domowych biorąca czynny udział. Stary

Aleksy, wierny i długoletni stróż domu Stein-kellerów załadował meble na wózek przy pomocy naszego służącego i pod dozorem Zosi, niosącej koszyk z prowiantami, wyruszyła o zmierzchu cała kalwakata na ul. Lubicz. Rodzice moi odwiedzali chorą często, uwiadomili o jej groźnym stanie rodzinę, która także co mogła, to dla biedaczki czyniła. Mimo te starania po kilku tygodniach zmarła pani Bendowa; córeczkę Stasię wzięła na wychowanie babka, właścicielka ogródka z „wiejską kawą” przy ul. Wolskiej. Rozpisałam się może zanadto o powyższem zdarzeniu, które głęboko utkwiło w dziecięcej mojej duszy, gdyż po raz pierwszy dało mi poznać nędzę ludzką i zetknąć się z nią osobiście, co też, jak dziś się

domyślam, było życzeniem matki mojej, często bowiem zwykła była mówić że nie dla samego szczęścia, człowiek się rodzi i nie powinien odwracać oczu od biedy, przeciwnie, powinien używać nędzy, tem wdzięczniejszy będzie Bogu za dostatki stanu swojego. Uważam za stosowne dać wyjaśnienie sytuacyi ś.p. pani Bendowej. Otóż, będąc już niemłodą a zamożną wdową, wyszła powtórnie za młodszego od siebie malarza Bendę, który w krótkim czasie przeputał majątek żony i porzucił ją wraz z małą córeczką i przepadł gdzieś w świecie, zaniedbawszy swój talent malarski. Był on bratem słynnej artystki dramatycznej, później Heleny Modrzejewskiej i znakomitego aktora, Feliksa

Bendy, ulubieńca krakowskiej publiczności i zacnego człowieka. – Stasia Bendówna wyszła za dr. psychiatrę Dobińskiego we Lwowie, gdzie dotąd mieszka.

O ile pamiętam, w domu moich rodziców nie bywało nigdy wystawnych przyjęć, balów i zabaw głośniejszych. Ojciec mój kupił dom po swoim ojcu na Kazimierzu; spłaciwszy rodzeństwo, ograniczyć się zapewne musiał w wydatkach; żyliśmy dostatnio ale skromnie. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek widziała matkę moją w stroju balowym, nie dawała sukien swoich do pierwszorzędnych krawców, sama przykrawała je z pomocą Elesi

Bensdorfówny, przerabiała takowe, nie trzymając
się skrajnej mody, która w owe czasy nie była ~~tak~~
zresztą tak zmienną jak dziś. Ojciec często ma-
wiał: Marysiu, czemu siedzisz i męczysz się nad
igłą, daj za dom robotę, proszę cię! Ale matka
na tym punkcie była nietylko uparta, ale i
oszczędna, miała swój odrębny gust, nie lubiła -
jak się wyrażała „liberyi.” To prawda, było jej
ładnie w czemkolwiek, śliczną była, zawsze stroj-
nie ubraną się wydawała, wzbudzając zazdrość
u kobiet. W owym czasie były w modzie okrycia,
zwane nie wiem dlaczego brzydko „salopami”, któ-
rych brzydotą jako i nazwą gorszył się później
nawet człowiek tak mądry jak Stanisław Tar-

mowski, w którem z pism swoich. Były to płaszcze długie, sięgające kostek, podszyte futrem lub suto watowane, zmarszczone w grube fałdy naokoło biustu i przyszyte do karczka czyli obojczyka (!) Okrycie to nadawało kobietom wygląd beczek. Matka moja nie hołdując tej modzie importowanej z Rosyi (tulub) nosiła półdługi, aksamitny, tak zwany dziś paltot, czarny, obłożony jonatami, futrem tegoż koloru, a przykrojonym zgrabnie do jej bardzo udatnej kibici. Tego śmiałego zamachu na wszechwładną modę nie mogły Krakowianki matce mojej wybaczyć. Pewnego dnia, idąc z matką ulicą, usłyszałam, jak jedna z dwóch mijających nas dam z oburzeniem w głosie rzekła: Że też to matka dzieciom jeszcze do figury chodzi! Dodać trzeba, że

matka miała wtenczas lat 35. Dziecinny mój umysł długo pracował nad rozwiązaniem tej zagadki, dlaczegoby matka mająca dzieci nie miała się ubierać do figury. Będąc starszą, pojęłam powód złośliwej uwagi, pamiętając że pani owa była bardzo otyłą, tak, że idąc kiwała się na boki. Cóżby ta dama, gdyby dziś żyła, powiedziała, widząc kobiety w podeszłym wieku w sukienkach krótkich i tak obcisłych na turniurze, że możnaby na nich robić studya anatomiczne, albo obnażone szyjki, nie zawsze łabędzie, wreszcie dekolty, wąskie wprawdzie, lecz sięgające żołądka...

Ojciec mój, dr. med. i fizyk, początkowo okręgowy, później miejski, członek wielu stowarzyszeń nauko-

nych i humanitarnych, miał rozległe stosunki,
był niezmiernie popularnym, lubianym i szano-
wanym ogólnie; słynął z niezłośliwego dowcipu.
Dziś jeszcze ludzie starsi pamiętają i wspomina-
ją jego trafne, humorystyczne uwagi i kon-
cepta. Urząd swój piastował do śmierci, przez
lat 50 i kilka, jednogłośnie wybierany. Nie lu-
bił pisać i nudne, austryackie, rozwlekłe referaty
i sprawozdania, wielce go niecierpliwiły. Mawiał
też często: Wolałbym piechotą obejść cały powiat
i miasto niż napisać w nieznośnym „Amtstilu"
arkusz sprawozdania. Nie zaniedbywał jednak
obowiązków swoich i cierpliwie staczał walki
z niechętną władzą, gdy chodziło o zarządzenia
zdrowotne, której opieszałość i biurokratyczna
procedura dziś jeszcze mści się na różnych

brakach, dawno przez ojca mojego przewidywanych.
Choć protestant, był prawdziwym obrońcą w sprawach klasztorów żeńskich, molestowanych niemądremi zarządzeniami władz, mącących spokój zakonny; sumienne orzeczenia w tych sprawach zawsze parowały wymierzone ciosy pedanteryi i formalistyki austryackich c. k. urzędników.
Oprócz stosunków z najbliższą rodziną, łączyły nas stosunki towarzyskie z domami Mączyńskich, Czechów, Schreiberów, Sokalskich, Strzelbickich, Estreicherów, Fierichów, Homińskich, Skoblów i innych. Bracia Dunajewscy, Julian i Albin liczyli się do częstszych naszych gości.

P. Julian lubił bardzo dzieci, pieścił mnie i na-
zywał „chasią.” Razu pewnego, kiedy kilku pa-
nów zeszło się u nas na partyę wista, ojciec
mój dla skosztowania postawił butelkę starego
miodu. Trunek ten, jak wiadomo, jest zdradli-
wy: nie idzie do głowy, lecz do nóg. Pierwszy
p. Julian, wstając od stolika, uczuł niepewność
chodu. Ojciec mój poradził mu aby się na chwilę
położył na kanapie w ojca pokoju, co też p. Julian
uczynił i wkrótce zasnął. Widok gościa, śpią-
cego na wizycie, wydał mi się bardzo dziwnym,
podeszłam cicho i wziąwszy za nos śpiącego po-
częłam kręcić, co siły. Zbudzony z twardego snu
wstał p. Dunajewski, a wywzajemniając się za dzie-
cinną psotę, lekko mnie pokręcił za ucho.—

Ojciec mój był swatem p. Juliana, jako konkurenta o rękę ładnej panny Maryi Estreicher, wprowadził go do domu znanego uczonego, profesora Uniw. Jag. Józefa Estreichera. Z rodziną p.p. Dunajewskich łączyła nas długoletnia przyjaźń. W ich miłym domu przy ul. Podwale (dziś Dunajewskiego) dużo przyjemnych chwil w ciągu długiego szeregu lat przeżyłam.

Albin Dunajewski, sekretarz hr. Adama Potockiego częstym i zawsze mile widzianym był gościem w domu moich rodziców. Był to człowiek wielce sympatyczny, rozumny, łagodnego usposobienia, przytem wesoły, jakiś dziwnie jasny i szczery; pięknej był postawy, blondyn z ładną, pełną brodą, o cerze świeżej a delikatnej. Pod koniec roku 1842 był

szczęśliwym narzeczonym jednej z najładniejszych panien w Krakowie, młodziutkiej Zofii Doran. Życzliwi nader Albinowi D. rodzice moi cieszyli się niezmiernie jego wyborem. Aż nadszedł pamiętny rok 1848! Albin D. wmięszany w polityczne zawichry, skazany został przez Austryaków na więzienie we Lwowie, gdzie przebywał lat 4, a następnie wywieziony został do cięższego jeszcze Spilbergu. Zofia D. pozostała wierną narzeczonemu i mimo licznych konkurentów za mąż wyjść nie chciała. Gdy siódmy rok więzienia Albina D. dobiegał, rodzice zaczęli nalegać na córkę, że młodość mija, że narzeczony Bóg wie kiedy i czy powróci, może już złamany niewolą, słowem, że p. D. po długiej i ciężkiej walce z sobą zdecydowała się wyjść za obywatela ziem-

skiego. Dzień ślubu naznaczono, kiedy nadeszła od Elbina D. wiadomość o jego amnestyi! W liście pełnym zapału donosił narzeczonej o dniu przybycia, po swoje szczęście. W tenże dzień z rana zastano p. D. nieżywą – zażyła truciznę. Tragiczny ten wypadek poruszył cały Kraków, współczucie dla zacnego człowieka, męczennika – patryoty było szczere i gorące. Cóż dopiero mówić o bólu serca nieszczęśliwego Elbina D...?!

W lat kilka, kiedy El. D. przebolał ciężką stratę, bo Bóg i czas to lekarz jedyny, poznał ładną i bardzo inteligentną pannę, Szczepanowską, córkę właścicielki wielce renomowanego zakładu naukowego żeńskiego. Znów promień szczęścia zabłysnął skołatanemu losem człowiekowi – niestety na

krótko! Panna S. umarła na tyfus! ks. D. po-
wtórny cios wziął za skinieniem wyższej woli i
został księdzem. Był potem lat kilka kapela-
nem przy klasztorze O.O. ~~Karmelitanek~~ Wizytek w Krako-
wie, oddany całkiem swemu zawodowi w ciszy i
odosobnieniu od świata. Kiedy przywrócono Bis-
kupstwo krakowskie, Ojciec Św. Pius IX. mianował
ks. D. Księciem-Biskupem krakowskim, w końcu
Kardynałem. Jakim był kapłanem i paste-
rzem wielkiej dyecezyi wie o tem cała Polska.
Ilekroć ukazał się w Rzymie, zawsze odznaczał
się dostojnością i powagą nadzwyczajną.
Skreśliwszy pokrótce ważniejsze chwile w życiu
ks. D. pragnę dodać jeszcze nieco anegdotycznej
treści. Otóż kiedy ks. D. został Biskupem krakow-

skim, hr. Adamowa Potocka ofiarowała mu w darze karetę i parę przepięknych koni karych ze stajni krzeszowickiej z bogatą uprzężą. Ojciec mój, posłyszawszy o tem, rzekł: Znam skromność Albina i przewiduję że będzie jak dotąd chodził „per pedes apostolorum" a konie zapasą się w stajni, a jeżeli zdecyduje się wsiąść do paradnej karocy to się skryje w głębi aby go nikt nie widział. Przewidywania ojca mojego sprawdziły się w większej części, gdyż Biskup chodził przeważnie piechotą, rzadko używając karety i to tylko gdy występował pontyfikalnie, wtedy nie krył się lecz przechodniów, odkrywających głowy lub przyklękających przed czcigodnym i wielce kochanym dostojnikiem

Kościoła, żegnał niezadowolenie znakiem Krzyża św.
Zapragnęłam choć raz w życiu przypatrzyć się z bliska ceremonii umywania nóg w Wielki Czwartek; udałam się więc wczas do Katedry i wcisnęłam się dyskretnie w kącik przy wielkim ołtarzu, lecz blisko tronu biskupiego. Wkrótce po przeciwnej stronie zasiadło 12tu starców. Wreszcie Książę-Kardynał zasiadł na tronie, czekając na przyniesienie szat, potrzebnych do ceremonii. Za Kardynałem zwartą masą wtargnął jakiś pensjonat żeński, otaczając tron wokoło tak szczelnie, że służba kościelna nie mogła się przedostać z szatami do Kardynała. Łagodny i cierpliwy z natury rzekł do pa-

nim: Moje miłe panienki, usuńcie się choć trochę abym mógł się przypatrzeć! Panienki cofnęły się trochę i przepuściły służbę ale zaledwie się ubrał, już znowu przed nim stanęły dziewczątki. Widząc to biskup, rzekł, z lekka ~~szturchną~~ stuknąwszy pastorałem: Widzę, że się do moich stanowisków dziś już nie dostanę więc proszę was panienki, zdejmijcie trzewiczki i pończoszki a ja wam nóżki umyję! Zawstydzone panienki wycofały się wreszcie z prezbiterium. Tak to ten zacny kapłan, mimo gorączką przepojonej młodości, zachował do końca życia pogodę umysłu a dla ludzi wyrozumiałość, miłe zawsze a często żartobliwe słowo.

Cześć jego pamięci!

Dla beztroskiego dziecka każda pora roku miała swój powab. Wiosną roboty w ogródku, którego uporządkowaniem, obsadzaniem i obsiewaniem ojciec mój z zamiłowaniem się zajmował, sprawiały mi wiele uciechy; grzebałam z zapałem w ziemi i pewną byłam, że wielce pomocną jestem. A jakaż to była radość, kiedy śledząc bacznie co dnia, wypatrzyłam pierwszy kiełek jakiego kwiatu! Z plant wionął upajający zapach fiołków, rosnących masą w naturalnych naówczas trawnikach; a cóż dopiero gdy zakwitły śnieżne i różowe kasztany i drzewa owocowe! Lato przynosiło oprócz mnóstwa róż, takie smaczne morele i brzoskwinie, jesień gruszki, bery soczyste i moc doskonale dojrzewających winogron. Otaczała nas wkoło miła dla oka zieleń. Zimy bywały dawniej pra-

wie zawsze bardzo śnieżyste, więc znowu z wszyst-
kich okien widniał piękny świat, okryty szronem
iskrzącym się w słońcu; gdzie spojrzysz, nowy
czar — jak w bajce.

Dom nasz, zamieszkany przez małą liczbę osób,
oddalony od wszelkich sąsiadów, miał jeszcze zaletę
ciszy błogiej, przerywanej tylko latem wrzawą ba-
wiących się na plantach dzieci klasy uboższej,
których dzielnica nasza mieściła niemałą liczbę.
Gra w ciuciubabkę, pytkę, mureczka lub ptaszka
ulubionemi były ich zabawami; chłopcy wywra-
cali na trawnikach kozły, spinali się z iście akro-
batyczną zręcznością po drzewach, ale najczęściej
staczali boje, ubrani w czaka z papieru, uzbrojeni
w drewniane szabelki; z krzykiem „hejże na Mos-
kala" rzucali się na nieprzyjaciela nieraz z taką

zajadłością, że zbijali sobie nosy i czoła, wtedy ostygał ich zapał wojenny, z bekiem wpadali na nasze podwórze i umywali się przy studni. Trafiało się, że matka moja spieszyła na pomoc „rannym" z angielskim plasterkiem lub kawałkiem starego płótna. Mimo wszystko przyznać wypada, że w figlach i zabawach ówczesnych dzieci proletarjatu tkwił jakiś wdzięk naiwności i szczerej, naturalnej wesołości, a u chłopaków pewna dziarskość i rycerskość a przytem posłuch i karność; w razie zbytniego hałasowania wystarczyło żartobliwe pogrożenie palcem, aby przygłośnia wrzawa przycichała lub zasuwała się dalej. Dziś, będąc w podeszłym wieku, powtórnie zamieszkuję tę samą dzielnicę, pęka mi głowa od wrzasków dzikich, nieludzkich, rozszalałej jakiejś

tłuszczy, zabawiającej się z upodobaniem w złodzieja, bandytę i „hycla". Z nadejściem wieczora rozpoczyna się gonitwa po całej ulicy z akompaniamentem walenia kołami w drzwi zamkniętych sklepów i ochrypłych całodziennym wrzaskiem głosów... Cała ta falanga niesfornej dziatwy żadnej nie uznaje władzy a na karcącą uwagę odpowiada wywieszaniem języka a nie rzadko obelżywem słowem, od którego uszy więdną.
A ileż to przestępstw, ba, nawet i zbrodni dziecinnych wykazuje dzisiejsza kryminalistyka! Strach pomyśleć, na co wyrosną te rozhukane bandy młodociane, będące już w zaraniu życia plagą prawdziwą.
Moja bosonoga, naiwna hołoto, rówieśnicy moich lat dawnych, z rozrzewnieniem was wspominam. Ileż

to z nas wyrosło na dzielnych rzemieślników lub uczciwe pracownice. Byli i tacy co później, zamieniwszy drewniane szabelki na broń prawdziwą, walczyli w powstaniu 1863 r.

Jak już wyżej wspomniałam, nie bywało w domu naszym zbyt kosztownych przyjęć ani zabaw; jedynie święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy powodowały nieco większy ruch. Matka moja, jak i wiele innych pań krakowskich, była członkiem Tow. Dobr. Opiekowała się salą 12-tą, mieszczącą 10 staruszek. Było zwyczajem, że w dni większych świąt, tak zwane „matki" sal obdarzały ubogich lepszem pożywieniem, po które zawsze zjawiała się dziesiętniczka z jedną towarzyszką,

Przypominam sobie, jak raz w Wielką Sobotę koło południa przyszły dwie takie „córki" z ogromnemi ręcznemi koszami po świąteczne dary, składające się z 10 placków z serem lub powidłami, tyleż kiełbas lub kawałów wędzonki, 4 jaj na osobę, 10 kawałków chrzanu, 2 dużych butelek cienkiego wina, 1 butli kminkówki (dla wszystkich osób) wreszcie z gotówki w kwocie 1 złotówki na osobę a 2 złotówki dla dziesiętniczki. Kiedy staruszki napełniły kosze, po wzajemnych życzeniach „Wesołego alleluja" zapytała jedna z nich, (widocznie nowicjuszka w zakładzie) „I cóż jeszcze?" Niedyskretne to zapytanie matkę moją raz śmieszyło, ale kucharka, która głównie trudziła się przygotowaniem owych specjałów, oburzona, wzią-

wszy obie baby za bary, za drzwi wypchnęła.— Tegoż samego roku w wigilię B. N. nie wiem czy wskutek niefortunnego wielkanocnego zdarzenia, przyszły z inne staruszki po dary świąteczne, składające się z wielkiego garnka kapusty z grzybami, takiejże racyi gotowanego suszu, to strucla z makiem lub powidłami, trunku jak wyżej wymienione, paczki opłatków i zwyczajnej gotówki. Odmianę stanowiło powinszowanie rymowane, wygłoszone przez dziesiętniczkę, których, niestety, nie zachowałam w pamięci. A szkoda, gdyż oprócz bombastycznych wierszydeł, bywały czasem rymy choć niewybrzane, czasem bezsensowne, ale nieraz pełne ludowego humoru. Zapamiętałam tylko następują-

cy dwuwiersz Ewy Mołędzińskiej:

„Ile gwiazd na niebie, piasku w morzu na dnie
niech tyle szczęścia w życiu na dobrych państwa
spadnie."

Ubogie z Tow. Dobr. dostawały na wikt 20 groszy dziennie, co przy ówczesnej taniości, przy zarobku jakim sobie pomagały, jak n.p. darcie pierza, sporządzanie bielizny i nadrabianie pończoch było wystarczające, zwłaszcza, że staruszki u swoich dawnych chlebodawców i licznych znajomych zapewnione miały obiady w pewne dni tygodnia. U nas co czwartek bywała miła i schludna babina, Ewa Mołędzińska, która doczekała się dnia mojego ślubu. Poczciwina przyniosła mi w darze duże, różowo lakierowa-

ne serce z piernika, z przylepionym na środku maleńkim obrazeczkiem, przedstawiającym w kolorach czułą parę z dwuwierszem niemieckim:

„Meine Liebe gegen Dich
Bleibet unveränderlich!"

Schowałam serce piernikowe, które przez lat kilkadziesiąt w proch się rozsypało, pozostał tylko obrazeczek, przechowany w archiwum moich pamiątek, jako szczątek daru dobrej, niezapomnianej staruszki, najstarszej mojej „córki" z sali 12, której opiekunką, od śmierci ś.p. matki mojej do dnia dzisiejszego jestem.

Wybiegłam nieco naprzód w mojem opowiadaniu, zaco czytelnika (ub. jeżeli się jaki

najdzie) porozpraszam, nie przyrzekając jednak poprawy...
Dom nasz wielce się ożywiał przyjazdem kochanych braci moich na wakacye i święta z Raciborza na Śląsku pruskim, gdzie uczęszczali do gimnazyum. Z jakąże radością oczekiwaliśmy dnia ich upragnionego przybycia. Na Wielkanoc przyjeżdżali zwykle w początku Wiel. Tygodnia i z wyjątkiem Wiel. Piątku, największego, jak wiadomo, święta u ewangelików, który to dzień wraz z ojcem poświęcali swojemu kościołowi, poczciwi chłopcy z ochotą pomagali matce i służbie w zajęciach przedświątecznych, i tu objawiała się nietylko ich wrodzona uczynność, ale także nabyta niemiecka dokładność i praktyczność. — Częścią dekoracyjną święcone-

go zajmował się młodszy brat, Edzik, mają-
cy upodobanie i zręczność w pracy mechanicznej
i niezwykły talent do rysunku. Za pomocą
igły wyskrobywał misterne ozdoby farbowanych
jaj wielkanocnych a papiery pod placki wyci-
nane nożyczkami wyglądały jak najpiękniej-
sze koronki. W pomysłach był niewyczerpany.
Wielka Sobota poświęcona była obchodom po
licznych kościołach i choć krótkiej mod-
litwie przy grobie P. Jezusa; wieczorem udawa-
liśmy się gremialnie na rezurekcję do para-
fialnego kościoła św. Krzyża. Święta spędzaliś-
my w kole rodzinnem, spożywając dary boże ze
zdrowym apetytem a bracia moi, po cienkiej
polskiej kuchni, delektowali się wszystkiem.
Bracia moi o lat 5 i 6 starsi odemnie uważali

się ~~za~~ moich opiekunów; z nimi więc odbywa-
łam wycieczki dalsze, na Emaus i Rękawkę, z któ-
rych powracałam zawsze z tradycyonalnemi
zabawkami, jakoto z drewnianą, kolorowo po-
malowaną siekierką, glinianym dzwonkiem,
naiwnemi zabawkami, które ustąpić musiały
z biegiem czasu dzisiejszej żydowsko-wiedeń-
skiej tandecie. Pielgrzymka w poniedziałek
Wielkanocny na Emaus, dzień odpustu u
P.P. Norbertanek na Zwierzyńcu połączona
z wycieczką na górę św. Bronisławy i kopiec
Kościuszki i we wtorek poświąteczny na Rę-
kawkę w Podgórzu, na Krzemionki i Mogiłę
Krakusa, były to uroczystości narodowe,
w których udział brały wówczas wszystkie

warstwy społeczeństwa krakowskiego. Oba kop-
ce, nie ściśnięte jeszcze wtedy fortecznemi
murami, oblegane były tłumnie, więc i nas,
polskie dzieci, pociągał widok przepiękny na
rodzinne miasto. Nigdy, choćby największa
słota, nie powstrzymałaby braci moich od tej
wycieczki. W późniejszem życiu zwiedziliśmy
świat szerszy, lecz widok z 3 mogił koło Kra-
kowa miał dla nas urok nieprzeparty. Tu
przytoczyć muszę następujące zdarzenie, dzię-
ki Bogu dość odosobnione. Będąc już dorosłą
gościłam w domu moim dwie panny z Król. Pol.
wychowane u Sercanek w Jazłowcu. Przyzwycza-
jona wozić zawsze moich przejezdnych znajo-
mych na kopiec Kościuszki i cieszyć się ich
zachwytem, cóż usłyszałam zmalałszy się na

szczycie góry (n.b. w dzień cichy i cudnie pogodny) „Ooo i cóż tu tak ładnego?, tu góry, tu Wisła, nie ma na co patrzeć, wróćmy już do miasta.(!) Wstydziłam się za nie i przypomniały mi się słowa kochanego mojego ojca o kobietach, nie odczuwających świętości pamiątek historycznych i piękności przyrody; zwykł był o nich mawiać: „Wolałyby one widoki z wąsami”.....”

W lat kilkanaście jedna z wyżej wymienionych panien, już mężatka i matka dwojga dzieci, syna i córki 15letniej, uczennicy zakładu w Zbylitowskiej Górze, przejeżdżając przez Kraków odwiedziła mnie. W czasie jednodniowego pobytu zdarzyła oprowadzić dzieci swoje po piękniejszych kościołach, zwłaszcza katedrze na Wawelu. Wyrząc to

ucieszyłam się zmianą jej pojęć i upodobań
lecz prędko spadłam z obłoków gdy matka i
córka równocześnie mnie zapytały: czyja to
srebrna trumna stoi na środku katedry wa-
welskiej ? (!!!) Ignorancya owych pań z wyższej
towarzyskiej sfery, nadto wychowanek wyższych
zakładów naukowych w kraju dziwną mi się
wydała a nie chcąc kompromitować matki wobec
dzieci, dałam tylko krótkie objaśnienie o
św. Stanisławie, patronie Polski. —
Dopiero w trzeciem pokoleniu tej kosmopolitycznie
myślącej rodziny danem mi było doczekać
faktu bądź co bądź niezwykłego, Oto owa wyżej
wymieniona panienka wyszła za bogatego zie-
mianina, więc mając środki materyalne, co-

wcznie odwiedzała zagraniczne kraje, zawsze bagatelizując wszystko co swojskie. Czteroletniego synka otoczyła wczesnie cudzoziemkami i obwoziła dziecko po obczyźnie. Chłopczyna choć jeszcze tak mały, nie był wcale obojętny na piękności przyrody przeróżnych europejskich okolic, mimo to mawiał zawsze: Mamusiu, tu jest bardzo ładnie, ale dużo piękniejsza jest nasza ell... Gdy dzień powrotu do kraju postanowiono, dzieciak nie posiadał się z radości! Kiedy bona wysadziła chłopca z powozu przed domem, dobre dziecko uklękło na oba kolana i z uczuciem pocałowało ziemię rodzimą... Może kto nazwie ten fakt przeczu-

leniom nerwów, ale ja widzę tu niezbity dowód, że w polskiem dziecku mimo wszystko odezwała się krew polska, a przywiązanie do ojczystej ziemi ujawniło się mimo obcego amalgamatu, jaki chłopcu babka, matka i bony nadać pragnęły. Dziś chłopiec ten liczy lat 8 (r. 1918) jest czupurny i ogromnie ambitny, daj mu Boże dochować w sercu i duszy miłość ojczyzny, która tak wcześnie w nim zakiełkowała.

Zaraz po świętach, zatem w połowie feryi wielkanocnych, kochani bracia moi ściśle byli egzaminowani przez matkę z historyi polskiej, którego to przedmiotu od wczesnego dzieciństwa matka nas uczyła i niecierpia-

żeby, aby synowie w niemieckiej szkole zaniedbywali się w świadomości dziejów ojczystych, jako też w polskim pacierzu. Lubiłam bardzo przysłuchiwać się kursowi historyi, nawet wtenczas kiedy jeszcze nie nie rozumiałam miło mi było choć patrzyć na kochanych braciszków, którzy imponowali mi swoją wiedzą. Egzamin wypadał zawsze doskonale, po czem następował kurs nowy, z którego za następną bytnością w domu byli przesłuchiwani. Nie wiem czy w tej nauce była jaka metoda, ale wynik był dobry, gdyż bracia moi mocni byli w historyi a służąc w wojsku austryackiem nie dali się pobijać w dyskutach historycznych ze świetnymi sztabowcami.
— Część letnich wakacyi przepędzali bracia

u wujostwa Kucieńskich w Miechowskiem, albo w Kesmarku na Spiżu u wujostwa Zenow-sich. — raz tylko odwiedzili stryja mojej matki, Benedykta Lemańskiego w Zagórzu pod Częstochową. Do rodziny L. później jeszcze powrócę.

Rodzina stryja Karola

Jak już wyżej wspomniałam, po śmierci dziadka Mohra, ojciec mój kupił dom na Kazimierzu, zaś aptekę, tam się mieszczącą, objął młodszy brat ojca, Karol, będący później profesorem chemii w szkole technicznej w Krako-





Julia z Mohrów
Steinkellerowa

wieś. Żydostwo, które mieściło się jeszcze w bocznych ulicach, wtenczas zaczęło się wciskać w główną ulicę Krakowską, więc apteka prosperowała. Mimo to stryj mój nie zrobił majątku, zwłaszcza, że zawód profesorski więcej odpowiadał jego upodobaniom i zdolnościom niż aptekarstwo, które zdał na mniej lub więcej uczciwych ludzi, odnoszących korzyści z renomowanej firmy.
Stryj Karol ożenił się z Lwowianką, panną Schöpf, osobą przystojną, energiczną, wielce gospodarną i oddaną domowi, w mowie egzaltowaną, w gruncie duszy jednak chłodną. Stryj był najzupełniej pod władzą praktycznej żony. Mię pamię—

tam, abym kiedykolwiek widziała stry-
jenkę bez zajęcia i ręcznej roboty. Zwła-
szcza szycie doprowadziła do takiej wpra-
wy, że szyła do późnego wieku, wprawdzie
z okularami na czole, lecz na pamięć,
rozmawiając swobodnie z otaczającymi,
a szyła ślicznie. Podziwialiśmy stry-
jenkę jak umiała utrzymać w bardzo
szczupłem mieszkaniu, którego okna
wychodziły na dosyć wprawdzie duże,
lecz później wstrętnie zażydzone podwó-
rze, ład i porządek. Matka moja
z tego powodu nazywała bratową wprost
bohaterką. Której dorodne i zdrowe cór-
ki zadawały kłam dzisiejszym pojęciom

o hygienie. Kuzynki moje, dwie starsze a dwie młodsze trochę odemnie, były nader żywego temperamentu, z wyjątkiem najstarszej Julii, która niemi była uosobieniem łagodności i dobroci. Trzy młodsze były czupurne i rozpustne jak chłopaki, tylko bić umieją. Uczęszczały do klasztoru p.p. Augustyanek, w pobliżu będącego. W częstych bójkach pomyczych sióstr zawsze łagodna Julia leżała na spodzie a górę brała równieśniczka moja, Audzia. Tryb życia i zwyczaje domu stryjostwa, były tak odmienne od naszego a jednak chętnie tam bywałam. Może właśnie ten kontrast mnie

pociągał, bo dzieci lubią odmianę. W charakterze Andzi i Teci najmłodszej było dużo złośliwości i uszczypliwości, której celem bywałam, lecz lecz chętnie im, to w długiem naszem życiu wybaczałam. Zwykle przychodziłam do stryjostwa na cały dzień a zwyczajnym naszym spacerem była ulica między ogrodami Augustyanów i Augustyanek a celem zawsze Skałka. W niepachnącej dzielnicy Kazimierskiej była to oaza istna, zielona i wonna, zwłaszcza na wiosnę. Bawiłyśmy się na schodach, wiodących do kościoła, i pamiętam z jakim strachem zaglądałyśmy do krypty Długosza, zawalonej gruzem przez szparę. (Dziś grób zasłużonych)

Spacery te odbywałyśmy pod opieką dość głu-
piej, 15letniej pokojówki, z której napomnień
nic sobie moje kuzynki nie robiły.
Pewnego dnia, gdyśmy rozpoczęły zabawę na
schodach kościoła, mój ulubiony pies, Kretuś,
ułożywszy się w kółeczko na szerokiej balus-
tradzie schodów najwyższych, zasnął smacz-
nie. Zaraz jedna ze starszych kuzynek po-
wzięła złośliwy zamiar zepchnięcia psa z wy-
sokości 1 piętra. Udawało mi się czas jakiś
przeszkodzić temu, mimo to w okamgnieniu
kuzynka zdążyła przecie zepchnąć psinę.
Zaskowyczał biedak żałośnie, usiłował pod-
nieść się z ziemi ale nie mógł. Z okropnym

płaczem zbiegłam na dół, wzięłam Kretusia na ręce i rozżalona pędem pobiegłam ku domowi. Dziś jeszcze, gdy to piszę, słyszę skowyt psiny a za sobą urągliwe śmiechy moich kuzynek. Biegłam przez planty z Kaźmierza. Ludzie dobrzy zatrzymać mnie chcieli i wziąć psa, który mi ciążył, ale nie dałam dotknąć nikomu mojego biednego faworyta i doniosłam go do domu. Kto lubi zwierzęta, ten pojmie mój żal; psina miał przednie nogi złamane, więc oddaliśmy go na kuracyę do cyrulika Kowalskiego na ul: Florjańską. Łapki oprawiono w łupki. Zajęła się biedakiem śliczna panna Stefania Kowalska (późniejsza wiceprezydentowa Strzelecka)

do której się wdzięcznie psisko tak przywiązało, że wyzdrowiawszy, codzień zrana biegał w odwiedziny do swej pielęgniarki, dzieląc swój afekt między nas i p. Stefanię.
Po katastrofie z Krętusiem oziębły nieco nasze stosunki z kuzynkami, których długo jeszcze byłam z tego powodu celem docinek.
Mimo wielkiej swobody wychowania i rozbujałości temperamentu, wszystkie siostry moje wyrosły na kobiety wzorowe, rzec można, niezwykle praktyczne, zabiegliwe i świetne wprost gospodynie. Wszystkie owdowiały przedwcześnie.
Najstarsza, Julia, dobra i słodka dusza, słynęła z wielkiej, klasycznej urody i majestatycznej

postaci. Szkoda, że oprócz niezbyt udatnych fotografii nie został jej portret większy. Piotr Stachiewicz w albumie kobiet Sienkiewicza przedstawił ją jako „panią Emilię" z „Rodziny Połanieckich". W 16 roku życia wyszła zamąż za Piotra Steinkellera (syna). Zamęście to, mimo świetnych pozorów, szczęścia jej nie dało... Straciła córeczkę 9cioletnią a później 2 dorosłych synów, Piotra i Henryka dr. med. ludzi pięknych i szlachetnych. Prawdziwa Mater dolorosa, przetrwała mężnie swoje pociski losu i dożyła wieku późnego (+ w r. 1917). Żyją jej wnuki po starszym synu, Piotrze: Józef Steinkeller, urzędnik magistratu krak. i piękna Helena Stasiniewiczowa, żona aptekarza w Rawie

Rutkiej.
Druga z rzędu, Marya, była za Ludwikiem Georgeonem, właścicielem renomowanego pensyonatu męzkiego w Krakowie. Trzecia, ciocia ma żamężna, czwarta Tekla za okulistą, dr. Cassiną, żyje dotąd i jest prababcią.
Z wszystkiemi, a szczególnie z 2ma starszemi przeżyłam długie życie w niczem niezmąconej harmonii i przyjaźni.
Kuzynce Georgeonowej, która straciła przedwcześnie zacnego i najlepszego męża, danem było przeżyć jeszcze nie jedną ciężką chwilę. Pewnego dnia, kiedy siedziała z robotą w oknie dozorując swoje dwie córeczki, bawiące się na galeryi od strony

podwórza, zauważyło się, że młodsza przystawiła sobie ławeczkę do balustrady i wstąpiwszy na nią schyliła się, patrząc na dół. W okamgnieniu starsza poderwała siostrze nogi a ta straciwszy równowagę runęła głową na dół; tę chwilę matka spostrzegła. Strach biedną obezwładnił, lecz nim odzyskała przytomność, córka powalana błotem stanęła przed nią zdrowa i uśmiechnięta! Upadek z I piętra na bruk, oprócz sińców nic dziewczynce nie zaszkodził; wyrosła na pannę wcale „w ciemię nie bitą".

Ponieważ pamiętam moment mego upadku z ganku jak gdyby to było dziś dlatego mogę sprostować pewne niedokładności z opisu. — [illegible]

mię była przyjechała do Przemyśla na dwa dni do tej siostry przedstawiając mnie Stefanię z siostrą starszą o dwa lata, pod opieką babci i służącej – życzeniu przedstawiłam chłopców dłuższego obiegłam wszystko na gorąco chcąc poznać na gwałt się przy na potrzebę, aby widzieć lepiej słonecznie na placu od Tarnowski, które wspominałam się przeczytały o ją ich sadzawki przeleciałam przez bajoro – jak się to stało, że chwyciłam się przelatującej kaczek Pan Bóg był wie – i dopiero na mój krzyk upadły, siostry Józia brana Gusia i służąca Stefania, ale moje słabe ręce pod ciężarem mnie wyłowiły i same przemokłe baranki i przyszłam na dół. Tego samego dnia wróciły do Kielc, Stefania, i jej siostry ułożyłam na moje przyjściem ją przeczytam, gdyż służąca nadała wszystko o tym wypadku opowiedziała. –

Wszystkie wrażenia najmłodszych lat tak mnie Kochały a mając 8 lat była ... i ... była by przebywała Tarnowski, rodzinny że do tego mnie

było jej na gardle, jestem przekonany, że gdyby
była w mieszkaniu jak wyjechaliśmy na [illegible]
byłaby mnie [illegible] i uciekała od tego
wyjazdu. –

Anna Georgen



68d

Rodzina Lemańskich.

Dziadek mój, Jan Lemański, najstarszy z 3 braci był właścicielem wsi Borzęciuki, będącej niegdyś w posiadaniu rodziny poety Jana Kochanowskiego, koło Zwolenia, w województwie Lubelskiem (Radomskiem). Dziadek mój ożeniony był z najmłodszą córką ostatniego prezydenta miasta Warszawy w końcu panowania Stanisława Augusta, panną Karoliną Zakrzewską. Z tego związku było 5 córek i 2 synów. Przy tak licznej rodzinie, na niewielkiej wiosce, dziadek mój majątku dorobić się nie mógł, zwłaszcza, że mając wielkie zamiłowanie w naukach więcej czasu poświęcał książkom niż gospodarstwu. Sam uczył swoje dzieci a uczył gruntownie, wszczepiając w ich

serca miłość ojczyzny a w umysł znajomość dziejów Polski i literatury. Zwyczajem ówczesnym nie zaniedbywał też w swym programie nauki francuszczyzny.
Matka twoja, Marya, była z rodzeństwa najstarszą. Joanna wydana za kuzyna swego, Józefa Lewańskiego, Napoleończyka, właściciela pięknego majątku Gardzienice w gub. Lubelskiej, niegdyś włości ~~Stefana~~ Jana Czarnieckiego. Trzecia Matylda, wyszła za Hipolita Dobrzychowskiego, -oficera z r. 30-31., następnie urzędnika w b. Komisyi Skarbu w Warszawie. Czwarta Walerya wydana za zamożnego obywatela w Lubelskiem, Maurycego Kisielnickiego i wreszcie najmłodsza Urszula za obywatela Maurycego Blumna, właści-

ciela Hinowskiej Woli w gub. Warsz. - Dwaj synowie brali udział w powstaniu r. 30-31., z których jeden wyemigrował do Ameryki i umarł w podróży na okręcie na żółtą febrę, drugi, wzięty przez Moskali do niewoli umarł w Anapie w Azyi. List tego męczennika chowam jak relikwię.
Może jeszcze powrócę poszczególnie do moich zacnych krewnych jeżeli mi Bóg życia pozwoli.
Braciom dziadka mojego materyalnie lepiej się powodziło. Benedykt posiadał milionową fortunę, wspaniałe Zagórze z iście królewską rezydencyą i miasteczko Kłobuck pod Częstochową. Stryj mej matki Benedykt, ożeniony z Przeździecką, miał 5 synów, z których trzech zginęło śmiercią tragiczną, z tego dwaj w młodym wieku. Czwarty

Ludwik brał udział w powstaniu, potem wyemi-
grował do Anglii. Z córek, słynna z urody
Maryja, wyszła za wdowca Piotra Steinkellera
znanego w Król. Pol. ~~ekonomistę~~ z podniesienia
przemysłu krajowego wespół z hr. Andrzejem
Zamojskim. ekonomistę Druga Kamilla, nieładna, słyną-
ca z inteligencyi i ~~dobroci~~ dowcipu wyszła za obywatela
Czesława Biernackiego w Kaliskie. Z tego związku
miała syna Stanisława. Rozwiódłszy się, weszła
w powtórne związki małżeńskie z baronem
Maltzan, Prusakiem i zamieszkała w Paryżu
lub willi swojej w Baden-Baden. Trzecia Karo-
lina wyszła za Hipolita Stojowskiego, właściciela
la dóbr Krasocin w Kieleckiem. Miała 3 synów

i córkę Kamillę, wydaną za kuzyna swego, Kazimierza Stojowskiego, właściciela pięknego majątku Niczyce pod Częstochową. Najstarszy syn Karoliny i Hipolita Stojowskich, Alfred, był ojcem słynnego pianisty i kompozytora Zygmunta Stojowskiego.
Oprócz wujostwa Benedyktów i córki ich baronowej Chaltran, która za mojej pamięci w Polsce nie bywała, znałam dobrze całą rodzinę krewnych moich, pochodzących z Zagórza a z Kamillą Stojowską łączyły mnie do starości węzły szczerej przyjaźni.
Drugi stryj matki mojej, Ludwik, właściciel Zwolenia w Lubelskiem.

Miał 4 córki i syna Kazimierza, ożenionego z Matuszewską. Najstarsza córka, Teodora, była za Dominikiem Lichockim, właść. dóbr. Szczekarków w Lubartowskiem. Druga Dębińska żyła lat 104, zmarła w r. 1918. Dwie młodsze, Komierowska i Watsaszewska od lat wielu już nie żyją; mieszkały w Warszawie.

Wuj Ludwik Lemański był opiekunem mojej matki i jej rodzeństwa. Wnuk wuja Ludwika a syn Kazimierza i Matuszewskiej żyje dotąd (r. 1918) w dobrach Bratoszewice koło Warszawy, ożeniony z panną Kumochą z Księstwa Poznańskiego. Ostatni to potomek męski z linii

Zwoleńskiej – Gardzieliny.
Z dwóch ~~sióstr~~ córek Kazimierza, starsza była za Feli-
cyanem Michalskim, młodsza za Wacławem Krze-
mińskim – ziemianinami. Obie zmarły młodo. Dobre,
światłe i miłe to były kobiety – serdeczną dla nich
zachowuję pamięć. – Do pokrewnej linii Lemańskich
z Gardzienic powrócę, opisując późniejsze lata moje-
go życia.

Dodatek.
Ludwikowa Lemańska ze Zwolenia, z domu Bagińska, była
córką kapitana wojsk polskich z czasów króla Augusta saskie-
go. Kapitan Bagiński, służący w gwardji przybocznej króla w
Dreźnie ożeniony był z margrabianką de Ponti, francuską, emi-
grantką osiadłą w Dreźnie, którą poznał, jako frejlinę kró-lo-
wej. Imię Lemańskiej było Teodora.

75a

Zakrzewski.

Ignacy Wyssogota Zakrzewski, ur. 1745 w Poznańskiem w Białczu, poseł na sejm wielki, bardzo czynny. Był przeciwny zaborowi dóbr duchownych 1792. 16 czerwca obrany prezydentem Warszawy. Jednej nocy kazał upiec 5.000 bochenków chleba i odwiózł do obozu. Targowica go usunęła. 1794 r. przybył do Warszawy. Król zaniepokojony powstaniem wysłał szambelana Strzembosza po Zakrzewskiego. Króla znalazł przestraszonego. Król go prosił, „żeby użył wpływu swego, żeby lud uspokoił.“ Ale ludność wzięła go na ręce i tak zaniósłszy z zamku do ratusza — ogłosiła go prezydentem. Zostawszy prezydentem, stał się duszą stolicy, przez niezmordowaną pracowitość i nieograniczone poświęcenie. Był czynnym nietylko w magistracie, ale też i w radach „zastępczej“, a później „najwyższej narodowej.“ Prawości wielkiej, charakteru nieugiętego. Po upadku powstania wyjechał w Lubelskie i tam się ukrywał. Na żądanie Moskali, Austryacy go uwięzili i wydali Moskalom. Zawieziony do Petersburga, tam w ciężkiej zostawał niewoli, aż do śmierci Katarzyny. Uwolniony przez cesarza Pawła, obrócił swą drogę przez Wołyń i wstąpił do tego Moszyńskiego, marszałka wielkiego, któremu życie ocalił i prosił o pożyczkę, żeby mógł dojechać o czem do domu. Ale pan Moszyński (ob. wyżej, jak się Kilińskiemu wypraszał) zbył go nieszlachetnie i niegrzecznie (Julian Bartoszewicz). Umarł 1802 r 27 kwietnia w Żelechowie. Za żonę miał Barbarę Rudzińską, wojewodziankę mazowiecką. (C. d. n.)

Bronisław Szwarce.

76.

Rodzina wuja Piotra Steinkellera.

O człowieku tym, tak wielce zasłużonym krajowi naszemu, współdziałającym w podniesieniu przemysłu razem z hr. Andrzejem Zamojskim i innymi, pisano tak wiele, właściwie konkursowe dzieło o nim, wyszło z pod pióra Andriszewskiego i Kindelskiego w Warszawie, że dodam tylko kilka szczegółów z życia prywatnego tego genialnego i przezacnego człowieka, o ile zasłyszałam o nim od moich rodziców i o ile sama zapamiętałam tę postać sympatyczną i niezwykłą, gdyż miałam już 10 lat kiedy umarł.

Piotr Steinkeller ożeniony był z córką bankiera warszawskiego, panną Antoine. Z tego małżeństwa miał

Antoniego
4 synów: Piotra, Aleksandra, Alfreda i Edwarda i córkę Paulinę. Wszystkich znałam i pamiętam bardzo dobrze. Synowie nie odziedziczyli nic z zaradności ojca, który nie szczędził trudu i kosztu na ich wychowanie. Pokończyli oni angielskie i niemieckie uniwersytety, byli światowcami, potracili znaczne majątki i byli zerem w społeczeństwie.
Antoni
Najstarszy ~~Piotr~~ ożenił się w r. 1854 z Julią Mokrowską, moją siostrą stryjeczną. Nie pomnę czem był Aleksander w Warszawie. Alfred, światowiec pierwszej wody, w późniejszym już wieku został urzędnikiem przy Wydziale Krajowym we Lwowie, ożeniony był z Emilią Lindke z Warszawy. Dzieci jego żyją dotąd w Sosnowcu. Najmłodszy Edward

wyjechał do Ameryki.
Paulinę Steinkellerównę łączyły stosunki pokrewień-
stwa z rodziną generała i ministra wojny, Maurycе-
go Hauke, gdyż za bratankiem tegoż była jej ciotka,
siostra Piotra S. Paulina od lat dziecinnych szcze-
gólnie przywiązaną była do Julii Hauke, jednej
z córek Maurycego, a lata spędzone w Petersburgu,
w instytucie Maryjskim ścisłą i serdeczną przy-
jaźnią połączyły sobie panienki. Po ukończeniu
chlubnie nauki Paulina powróciła do Polski a Julia
mianowana freiliną dworu ówczesnej następczyni
tronu, późniejszej carowej, żony Aleksandra II.
pozostała nadal przy dworze rosyjskim. Obdarzo-
na nie tyle urodą ile niezwykłym wdziękiem,

pozyskała serce brata następczyni tronu, Aleksandra ks. Heskiego, który ją poślubił morganatycznie, nadając tytuł ks. Battenberg. Z czterech jej synów, trzech poślubiło królewny a czwarty Aleksander, książę Bułgarji, zdetronizowany w r. 1874 ożeniony z śpiewaczką, p. Loysinger, wkrótce umarł, pozostawiając syna, hr. Hartenau. Dobra Julia Battenberg na wysokości swego stanowiska nie zapominała o ukochanej kuzynce i przyjaciółce, Paulinie H. i do śmierci tejże w żywej z nią pozostawała korespondencyi. Nieraz Paulina, później śp. profesorowa Rozwadowska odczytywała mi listy Julii, tchnące, mimo świetności jej losu, tęsknotą do Polski. Szkoda, że synowie Pauliny Rozw. nie

Do opracowania tego projektu i memorjału w tej sprawie do Ministerstwa Skarbu wybrana została specjalna Komisja, w skład której weszli: inż. Jan Kania, adw. Tad. Michalski, Wł. Miłobędzki i Zb. Wierzbiański.

nictwa na kresach.

Pragnąc przyczynić się do nadania temu Zjazdowi znaczenia ogólnopolskiego i wszechstanowego zebrania rolniczego, wybierają się do Wilna poza tłumnemi delegacjami Towarz. i organizacji rolniczych

jest podrożenie węgla, którego cena skoczyła o 140 proc. w porównaniu do ceny grudniowej.

W tym samym stosunku podniosły się i wszystkie inne tak osobowe, jak i rzeczowe wydatki kolejowe. Zarządzone w roku ze-

jest, że ci, którzy z ... ki łatwe, by sami nie pracowali skazują się dobrowolnie na większą i poniżającą pracę, to jest na nudy, w których nigdy zaspokajającego roztargnienia nie znajdą.

Kazimierz Brodziński
O powołaniu i obowiązkach młodzieży akademickiej.

da złotemu sądowemu. Takie rozporządzenie zastąpi liczne nowele prawne corocznie wydawane, nie obejmujące jednak wszystkich działów prawa obowiązującego. Odciąży to rząd i ciała prawodawcze i ułatwi

sa Ministrów i do pp. Ministrów z prośbą o wprowadzenie analogicznych zarządzeń w podległych im organach administracji państwowej.

JENERAŁ JÓZEF BOSAK-HAUKE

DZIECIŃSTWO I MŁODOSC

Dziwnie dużo momentów obcych skupiło się dokoła tak świetlanej i przepysznie polskiej postaci, jak ostatni wódz styczniowego powstania, a wkrótce potem w wojnie niemiecko - francuskiej „Leonidas Wogezów", Józef hr. Hauke, na kartach historji ojczystej znany pod przybranem imieniem jenerała Bosaka.

Urodził się w Petersburgu r. 1834. Pochodził z rodziny niemieckiej, która z Saksonji przyszła do Polski z którymś z Augustów i, jak tylu innych cudzoziemców, noszących w sobie szlachectwo duchowe, uległa rychło asymilującej sile polskiej kultury.

W rodzinie Hauków prędko wytworzyła się piękna tradycja zasług wojskowych w służbie nowej ojczyzny. Dziad Józefa, Ludwik Hauke, był zawodowym i głęboko wykształconym wojskowym i w niedługim czasie dał się chlubnie poznać, jako założyciel szkoły artyleryjskiej w Warszawie. Stryjem Józefa był tragicznie znany w dziejach nocy listopadowej, minister wojny Królestwa Polskiego kongresowego, jenerał Maurycy Hauke, zastrzelony niewinnie przez roznamiętniony tłum warszawski w chwili wybuchu rewolucji. Ojciec bohatera, Ludwik Hauke, również oficer wojsk polskich wyższego stopnia, był tym oficerem, któremu Mikołaj polecił odwiezienie do Warszawy zdobytych na Turkach armat bałkańskich z historycznym frazesem: „Król Mikołaj pomścił króla Władysława" (Warneńczyka). Wkrótce potem tenże Mikołaj powołał młodego oficera polskiego do Petersburga, jako swego adjutanta. Tu przyszedł na świat przyszły bohater polskiej i francuskiej walki o wolność, Józef Hauke.

Na początkowe losy chłopca wpłynął przemożnie fakt powinowactwa rodziny Hauków z carską rodziną. Syn Mikołaja wszedł w związki małżeńskie z niemiecką księżniczką Hessen-Darmsztadzką, a tej brat ożeniony był z Polką, panną Haukówną, ciotką naszego bohatera. W ten sposób Haukowie uważani byli na dworze petersburskim za carskich kuzynów, a Mikołaj obdarzył ich z tego powodu tytułem hrabiowskim, którym Józef Hauke, w przeciwieństwie do utytułowanej przez zaborców arystokracji polskiej, gardził, nigdy go nie używał i uważał sobie za ujmę. Zmarły w r. 1835 Ludwik Hauke zostawił troje małych dzieci i wdowę, z domu Steinkellerównę, córkę znanej patrjotycznej rodziny warszawskiej, pochodzącej z Niemców, lecz spolszczonej, podobnie, jak Haukowie. Pani Haukowa, jako Polka i Warszawianka, owdowiawszy w Petersburgu, a mając nieletnie dzieci do wychowania, postanowiła porzucić antypatyczne miasto. Jakoż powróciła zaraz do Warszawy. Wtedy jednak koronowany kuzyn Hauków, Mikołaj umyślił roztoczyć opiekę nad rodziną swego krewniaka i byłego adjutanta. W szczególności życzył sobie car wziąć pod swoją opiekę dzieci, i trybem często wówczas praktykowanym wychować je na janczarów caryzmu, a wrogów własnej ojczyzny. Okoliczność, że pani Haukowa ciężko właśnie wtedy zachorowała, nasunęła pożądaną ku temu sposobność. Jedna z dam dworu petersburskiego, wysłana do Warszawy, dokonała porwania z pod skrzydeł chorej matki dzieci polskiego oficera i rzuciła pod stopy cara-opiekuna troje drobiazgu: dziewczynkę i dwóch chłopczyków. Jednym z nich był przyszły „buntowszczyk" Józef Hauke.

Oderwany dosłownie od łona matki dzieckiem zaledwie że półtorarocznem, pozbawiony tchnienia rodzinnego, z którem mogły były do młodocianej duszy przeniknąć jakieś tradycje narodowe, oddany został Józef Hauke z rozkazu cara najpierw do t. zw. Korpusu Małoletnich w Carskiem Siole, a ztamtąd po latach ośmiu do słynnego w dziejach Rosji Korpusu Paziów, tego osławionego zakładu wychowawczego, który otwierał perspektywę świetnej karjery za cenę przeniknięcia się nawskroś zasadami caryzmu i reakcji. Nawet Rosjanin, który zresztą w zakładzie tym, jako państwowym rosyjskim, z natury rzeczy nie mógł ulegać narodowemu prześladowaniu, nasiąkał tu nikczemnością, cóż dopiero dziecko narodu podbitego i skazanego na wytępienie, które nigdy ani słowa sprawiedliwego i ciepłego nie słyszało tu o własnej ojczyźnie. Jakoż przyszły wielki patrjota wychowywał się przez długie lata w zupełnem odosobnieniu od spraw swego narodu, w atmosferze temu narodowi nietylko obcej, lecz wrogiej. Najniewinniejsze wpływy rodzinne były srogo tępione. Przez blisko osiem lat, które spędził w korpusie małoletnich, Józef nie widział matki, której odwiedziny w zakładzie były regulaminem wzbronione. Dopiero w r. 1844, gdy go, jako dziesięcioletniego już chłopca przeniesienono do Korpusu Paziów, za osobistem wstawieniem się króla pruskiego przez wpływy darmsztadzkie matka uzyskała jako łaskę pozwolenie uścikania swego dziecka. Tak starannie i tak brutalnie odsuwano od niego wszelki wpływ polski, chociażby to był tylko wpływ rodzinnego, ojczystego powietrza. Natomiast w całym systemie wychowawczym było wszystko obliczone na zabicie w wychowańcach ostatniej iskierki ducha wolności, poczucia godności ludzkiej i miłości ojczyzny, na rozkrzewienie dworactwa i służalstwa, na zamienienie człowieka w maszynę na usługach despotyzmu.

Józefa Haukego, można też uważać za fenomenalny wprost przykład zwycięstwa ducha, a w szczególności ducha polskiego nad brutalną siłą, jaką w owym strasznym okresie dziejów rozwinęli byli nad nami zaborcy. Z kilkunastoletniej deprawującej szkoły Mikołajewskiej wyniósł niezachwianą niczem zdolność przetworzenia się pod wpływem pierwszego narodowego wstrząsu moralnego na poziom najwyższych polskich ideałów.

W broszurze „Listy do gromady", wydanej w wiele lat potem, nawiązując do owego momentu przełomu, jaki się dokonał w nim samym i całem szlachetniej myślącem pokoleniu polskiem za rządów Mikołaja, pisał później Hauke - Bosak:

„Rosnąc, poznała ta młodzież, że jest wielki lud i kraj, świetny w dziejach ludzkości, który Polską zowią. Niejeden dowiedział się także, że był synem Polaka, lecz żaden nie był w stanie zrozumieć jęku, jaki dochodził do niego z ojczystego kraju. Dopiero, gdy rozległo się hasło powstania, odrazu, jakby cudem, poznali głos ojczyzny-matki i pospieszyli do szeregów narodowych".

Pobytu w carskim zakładzie wychowawczym nie zmarnował Hauke, przygotowując się w nim jak najgorliwiej do rychłej już zaszczytnej pracy w służbie „ojczyzny-matki", w służbie Polski. Przejął od swoich moskiewskich wychowawców znajomość rzemiosła wojskowego. W siedemnastym roku życia wyszedł ze szkoły ze stopniem oficera gwardji, a dzięki zarówno wychowaniu w Korpusie Paziów, jak osobistej opiece cara wynosił ze sobą otwarte pole do najwyższej wojskowej karjery. W rok później 1852 był już porucznikiem, adjutantem ministra wojny gen. Suchozaneta i szybko przebiegając stopnie hierarchji wojskowej, w r. 1858 dosłużył się już stopnia podpułkownika gwardji i był oficerem ordynansowym przy carze. Miał wówczas lat dwadzieścia cztery.

Jako swego oficera ordynansowego car Aleksander II wysłał Haukego w sprawach wojskowych do Paryża jak w niewiele lat potem Zygmunta Sierakowskiego, nie przeczuwającą ani w jednym ani w drugim wroga swego i caryzmu. Jadąc tam, Hauke nie umiał mówić po polsku. Nie wiedział wcale, że jest Polakiem. W Warszawie, przez którą miał przejeżdżać, był po raz pierwszy od lat przeszło dwudziestu, od czasu, jak porwany był przez Moskali od matki. Iskra miłości ojczyzny, która niebawem miała zajaśnieć tak wspaniałym płomieniem, drzemała jeszcze pod popiołem obcego wychowania. Przejazd przez Warszawę nie zostawił też na nim nieomal żadnego wrażenia. Był otoczony w drodze, tak jak dotąd w Petersburgu, towarzystwem moskiewskim, nie dającem się osobiście odczuć w przykry sposób. Nie przeczuwał nawet młody oficer, że znajduje się w stolicy kraju swoich ojców. Minął Warszawę i przez Berlin ruszył dalej na zachód. Na ziemi francuskiej dopiero miał Józef Hauke po raz pierwszy usłyszeć, że jest Polakiem, że Moskale są wrogami jego kraju i że wychowywany był dotychczas w tym celu, aby w ręku tego wroga być narzędziem do gnębienia własnych rodaków. „Uświadomienie" to odbyło się w Paryżu, a zawdzięczał je Hauke rodakowi hr. Ledóchowskiemu, z którym się poznał u gen. Walewskiego. Zwięzłe to wynurzenie wywołało przewrót w całym sposobie myślenia Haukego. W ciągu sześciu tygodni nauczył się zgrubsza mówić po polsku i obeznał się z dziejami ojczystemi. Skorygował stosunek swój do Moskali, uznając w nich wroga.

Polakiem już wrócił Hauke do Petersburga. Coraz trudniej jednak odtąd było mu wytrzymać w ciężkiej atmosferze stolicy carskiej, w pobliżu zwłaszcza carskiego dworu, któremu dotąd atrybut towarzyski płacić był obowiązany z tytułu rozlicznych węzłów, jakie go z dworem tym łączyły. Szukał odtąd sposobności, aby się na zawsze oderwać od Petersburga i od carskiego dworu. Jakoż sposobność znalazła się. Młody oficer, zasłaniając się kwietystyczną atmosferą stolicy, nie nadającą się dla żołnierza, zażądał przeniesienia na Kaukaz. W kraju Szamyla wrzała nieustająca, chroniczna geryjasówka, rodzaj wojny, który specjalnie mógł zainteresować Polaka, jako mogący mieć kiedyś zastosowanie. Przytem, pod odrzuconą precz skórą dworaka i salonowca zarysował się w nim człowiek czynu i żołnierz, z całym szeregiem wybitnych cnót wojskowych. Indywidualność Haukego, jako żołnierza i wodza, narzucała się tak nieodparcie, że podczas pobytu swego na Kaukazie Aleksander II nie mógł powstrzymać się, aby go ostentacyjnie nie wyróżniać na tle całego korpusu oficerskiego, nie wyłączając takich familjarno - sentymentalnych środków, jak uściski i pocałunki.

Wkrótce jednak przyszedł w karjerze Haukego innego rodzaju przełom. Przyniósł go początek roku 1861 i pamiętne demonstracje warszawskie, mające zwiastować burzę w Polsce. Wojsko moskiewskie strzelało do tłumu ulicznego w Warszawie, a odgłosy tych strzałów dotarły na Kaukaz i wywołały w duszy niedawno unarodowionego patrjoty formalną rewolucję. Dla prostej i uczciwej duszy Haukego stało się oczywistem, że dłużej nie wolno mu pozostawać pod sztandarami armji, która podejmuje się haniącej roli katów ludu, a w szczególności morderców jego rodaków. W ślad za tym namysłem poszedł szybki i stanowczy czyn. Dwudziestokilkoletni oficer, będący już naówczas w stopniu pułkownika, a stojący blisko szlifów jeneralskich, nie ukrywając bynajmniej motywów swego kroku, wniósł o zwolnienie ze służby wojskowej. Nie łatwo jednak niezaraz udzielono mu żądanej dymisji. Sprawa oparła się o cara. Z rozkazu cara miano spróbować jeszcze nakłonić Haukego do cofnięcia pisma dymisyjnego, nie oszczędzając tak wymownego argumentu, jak perspektywa niedługiego już zapewne awansu generalskiego. Wszystko to jednak nie osiągnęło żadnego skutku. Hauke, obrażony w swem uczuciu patrjotycznem i chcący wydobyć się wreszcie ze służby moskiewskiej, podtrzymał żądanie o dymisję z całym uporem i otrzymał ją wreszcie.

Nadeszło powstanie 1863 r. Hauke ofiarował swe usługi rządowi narodowemu i we wrześniu 1863 wystąpił na widownię, przyjmując głośne następnie w wypadkach narodowych przybrane nazwisko obozowe Bosaka. Staranne przygotowanie wojskowe pozwoliło zająć Bosakowi oczywiście jedno z najwyższych w powstaniu stanowisk, działalność zaś nowego wodza skupiła się głównie w południowo - zachodnim zakątku Polski, w województwach Krakowskiem i Sandomierskiem.

Antoni Chołoniewski.

matorzy tego osobliwego sprzętu codziennego użytku zgłosili się: uliczny przedsiębiorca pieczonych maronów, który zobowiązał się w nim piec marony, oraz właściciel panopticum figur woskowych i ruchomego muzeum osobliwości, który twierdził, iż będzie pokazywał piecyk publiczności zasadniczo po bardzo niskich cenach, podnosząc je tylko w razie silniejszego ogrzania go drogim węglem niemieckim.

Wkońcu jako nabywca piecyka wystąpił jakiś chudy pomarszczony staruszek, który odrazu zaczął krzyczeć z jakąś dziką niesamowitą energją:

— Mnie sprzedajcie, tylko mnie! — wołał rozpaczliwie. — Nie wierzcie tamtym! Oni na piecyku chcą zrobić interes, a ja go potrzebuję dla osłody mej smutnej starości!

— W jaki sposób osłodzi to panu starość? — zapytał go urzędnik prowadzący sprzedaż, wśród ogólnej wesołości zgromadzonych.

— Jestem Jean Baptista Perrichon mam lat ..., żyłem cnotliwie i bogobojnie i unikałem ko... nawet w autobusach i w Metro, ale obecnie przed śmiercią przyszła na mnie ciężka chwila...

786

— Daj pan ogłoszenie matrymonialne do „Matin'a" — zawołała jakaś litościwa starsza kobieta.

— Już zapóźno — rzekł cicho staruszek i duża łza spadła mu z wypłowiałego oka na kamizelkę.

— Więc na co panu ten piecyk — zapytał urzędnik.

— Myślałem sobie — mówił rozbrajająco staruszek — że jak kupię sobie piecyk Landru'a i zapalę w nim mocno, to chociaż węch mam

STANOWISKO MNIEJSZOŚCI

Sjonistyczny „Hajnt" (26) wygłasza takie zdanie:

„Rozłam między mniejszościami jest tylko czasowy. Jedno z dwojga: Jeżeli rząd zwróci się w kierunku spełniania słusznych żądań mniejszości narodowych, to nie będzie żadnej możności innego traktowania narodowości żydowskiej a innego — nieżydowskiej. Jeżeli zaś rząd istotnie kierować się będzie koncepcją, że każde specyficzne żądanie żydów, dotyczące ich języka, ich gmin i ich prawa obrony braci z innych krajów i korzystania z poparcia żydów zagranicznych, że to wszystko nie jest najelementarniejszem prawem mniejszości żydowskiej, lecz że to są przywileje, to takie samo stanowisko, a może jeszcze w większych rozmiarach stosowane będzie ( ) do innych mniejszości narodowych.

„Wtedy Ukraińcy, Białorusini i Niemcy przekonają się dopiero naprawdę, że obietnice, przy pomocy których wywabiono ich z ogólnego obozu ... i wystarano się, żeby oni szli ręka w rękę z żydowską mniejszością, że wszystkie te obietnice są tylko frazesami, któremi chce się im oczy zamydlić, ale których nikt nie powinien brać poważnie".

W wywodach powyższych uderza nietylko dążenie żydów do utrzymania nadal Bloku Mniejszości, ale i to, że oni jawnie stawiają warunek pozwolenia żydostwu w Polsce na współdziałanie z żydami zagranicznymi, co nazywają: „prawem obrony braci z innych krajów i korzystania z poparcia żydów zagranicznych!"

—kl.

W grę wchodzą tu bardzo wyraźne postanowienia Konstytucji, wcale jednak nie urzeczywistnione, co nie może być uznane za rzecz błahą.

Artykuł 83-ci Konstytucji, w dziale 4-tym o sądownictwie, mówi:

„Do orzekania o zbrodniach, zagrożonych cięższemi karami, i o przestępstwach politycznych będą powołane sądy przysięgłych. Czyny, podlegające sądom przysięgłych, organizację tych sądów i tok postępowania określą szczegółowe ustawy".

A w artykule 126-tym Konstytucji powiedziano:

„Wszelkie istniejące obecnie przepisy i urządzenia prawne, niezgodne z postanowieniami tej Konstytucji, będą najpóźniej do roku od uchwalenia tej Konstytucji przedstawione ciału ustawodawczemu do uzgodnienia z nią w drodze prawodawczej".

A zatem w rok po uchwaleniu, 17-go marca 1922, czyli od dziesięciu miesięcy wszystko co niezgodne z Konstytucją powinno było być przedstawione do uzgodnienia.

W każdej sprawie było to nakazane, a cóż dopiero w tak pierwszorzędnej w nowoczesnem życiu państwowem, jak sądy przysięgłe.

Otóż w Polsce, na podstawie dawnego stanu prawnego z czasu niewoli, są sądy przysięgłe w b. zaborze austrjackim i pruskim, ale niema ich w t. zw. kongresowej części b. zaboru rosyjskiego, gdzie sądów tych, istniejących zresztą w państwie rosyjskiem, nie wprowadzono, w drodze prawa wyjątkowego, skierowanego przeciw ludności kraju, uważanej za niepewną.

I ten stan rzeczy na ziemiach b. kongresowego zaboru rosyjskiego trwa do dziś dnia: sądów przysięgłych tu niema.

Trwać on będzie już niedługo, bo ustawa o sądach przysięgłych także w tej części państwa jest wniesiona do Sejmu.

Zamach na życie ś. p. Prezydenta Narutowicza dokonany został w Warszawie, a zatem zastosowano art. 208 dawnej rosyjskiej Ustawy Postępowania Karnego, który mówi:

„Każde przestępstwo, z wyjątkiem wypadków, wyraźnie wskazanych przez ustawę, ulega dochodzeniu w tej miejscowości, w której zostało spełnione, i rozpoznaniu w tym sądzie, którego właściwości dana miejscowość podlega".

Przez zastosowanie tego przepisu sprawa, która wedle Konstytucji należy do są-

... szawski. Mniejszość opuściła zebranie.

Echem nieporozumień warszawskich była niedawna konferencja ewangelików-Polaków we Lwowie, świadcząca o tem, że dawne dobre stosunki między współwyznawcami obu narodowości się popsuły, gdy Niemcy-ewangelicy zaczęli ulegać propagandzie pruskiego nacjonalizmu.

Okres zgodnego, życzliwego współżycia ewangelików w Polsce należy już do przeszłości. Początek tarć wewnętrznych datuje się wprawdzie z przed wojny, gdy szeroko rozgałęziona agitacja Ostmarkvereinu i pokrewnych związków wszechniemieckich sięgnęła daleko na wschód, poza granice państwa, i nie oszczędziła w swej zachłanności dziedziny religijnej. Lecz do ostrzejszych konfliktów doszło dopiero w nowem Państwie Polskiem, gdy Niemcy - ewangelicy z byłego zaboru pruskiego zaczęli ... liczebną, samowiedzą narodową i organizacją kościelną nad rozrzuconym po całym kraju archipelagiem luźnych skupień współrodaków i współwyznawców, których znaczna część przedstawiała już typ mocno zasymilowany z rdzenną ludnością.

Pozatem ustrój kościelny pomimo wspólności zasad religijnych nie był jednolity. To wytwarzało pewną odrębność i partykularyzm grup wyznaniowych. Nie bez powodu więc boleją nad tem rozbiciem przewódcy Ewangelickiego Kościoła w Poznaniu i na Pomorzu, przejęci posłannictwem wzniosłego dzieła zjednoczenia... ad maiorem gloriam Germaniae...

W Polsce bowiem mamy obecnie 6 odłamów Kościoła Ewangelickiego.

W b. Kongresówce dominuje wyznanie augsburskie, które po wojnie spadło do liczby 400.000 wiernych.

Kościół Ewangelicki w Małopolsce (największe skupienie w kolonjach koło Stanisławowa) składa się z gmin augsburskiego i helweckiego wyznania, które choć oficjalnie nie sfederowane, mają ze sobą wiele łączności.

W byłej austrjackiej części województwa Śląskiego (Śląsk Cieszyński) jedna część gmin augsburskiego wyznania, z przewagą narodowości polskiej, stanowi diecezję metropolji warszawskiej, druga niemiecka pozostała samoistną jednostką, z centralą w Bielsku.

Kościół t. zw. „reformowany" liczy blisko 12.000 wyznawców z 5 pastorami, w czterech gminach religijnych b. Kongresówki.

... miecki par excellence, o wyraźnej fizjognomji narodowościowej i tradycji pruskiej, wszechniemieckiej.

Jak Deutschtumsbund w dziedzinie politycznej, tak Kościół Zjednoczony (Unierte Kirche) w dziedzinie religijnej i kulturalno-społecznej poczuwa się do daleko zakreślonych zadań misji niemieckiej. Jego konstytuanta w nowem Państwie Polskiem dokonała się na uroczystym zjeździe synodalnym w Poznaniu, w kwietniu 1920 r. Synod ten, na którym uznano najwyższą władzę wykonawczą ewangelickiego Konsystorza w Poznaniu, nazwał się manifestacyjnie „prowincjonalnym", aby utrzymać przedwojenną tradycję i zaznaczyć swą zależność od generalnej Macierzy w b. Królestwie Pruskiem. Trzeba bowiem pamiętać, że Ewangelicki Kościół Zjednoczony jest od 106 lat urzędowem wyznaniem Królestwa Pruskiego, a od r. 1866 wszystkich do niego przyłączonych prowincji. Przeciw manifestacji Synodu poznańskiego zaprotestował Rząd Polski, to też następny Synod nazwał się już nie „prowincjonalnym", lecz „krajowym".

Stosunek Kościoła Zjednoczonego do Państwa Polskiego nie jest po dziś dzień wyraźnie określony. Artykuły 114 i 115 Konstytucji kwestji w istocie nie rozstrzygnęły, pozostawiając ostateczną definicję obopólnemu porozumieniu, które jednak dotychczas nie nastąpiło. W opinii sfer kierowniczych Kościoła Zjednoczonego uchodzą za miarodajne wskazania t. zw. Konferencji Biskupiej w Upsali (marzec, 1921 r.), przyznające Kościołowi Zj. w Polsce prawo łączności duchowej z Kościołem macierzystym w Niemczech, pozatem prawo sprowadzania stamtąd pastorów i pobierania zasiłków z kasy kościelnej. Orzeczenie upsalskie wyklucza natomiast wszelką prawno-administracyjną zależność od Macierzy pruskiej.

Oczywiście, uchwały Konferencji Biskupiej nie mogą, nawet mimo zastrzeżeń, zabezpieczyć interesów Państwa Polskiego i zastąpić odpowiedniego układu. Jednak tutejsze duchowieństwo ewangelickie uważa te uchwały za wytyczną swej kościelnej polityki, a nawet zależnie od potrzeb i okoliczności kompetencje swe rozszerza.

Sprawa ta, jak wiele innych nieporozumień polsko-niemieckich, wisi w powietrzu, a w rezultacie stosunki Kościoła Zjednoczonego w Polsce z berlińską Macierzą pozostają nadal bez należytej kontroli. A trzeba zważyć, że ingerencja Kościoła Ewangelic-

Kościół Zjednoczony, pomimo ustawicznych narzekań na szykany władz polskich, na brak środków, ludzi i deprymujące osamotnienie, czuje się przecie dość krzepkim w sobie, aby się troszczyć nie tylko o własne owieczki, lecz również i o cudze. Z protekcjonalnym gestem wyższości patronuje innym w Polsce ewangelickim wyznaniom, lituje się nad ich słabością i biada nad ich rozluźnieniem. Radby je w jeden front łączyć, jednoczyć, kierować.

Najwięcej zmartwienia ma z kościołem warszawskim... Wystarczy przejrzeć rubrykę wiadomości kościelnych w „Posener Tageblatt" i w fachowych publikacjach. Ciągła krytyka warszawskiego Konsystorza, przycinki pod adresem superintendenta Burschego i kongresowiackich pastorów, natrząsanie się z ewangelickiej teologji w Uniwersytecie Warszawskim — a to wszystko dlatego, że ten superintendent i znakomita większość owych pastorów, albo przyznają się jawnie do polskości, albo, gdy który z nich uważa się za Niemca, to jedn... obraz i podobieństwo wyznawców ... tumsbundu...

Jeżeli jak to na początku wspom... dawne zgodne pożycie polskich i ... kich ewangelików jest od pewneg... narażone na ustawiczne turbacje, to ... dę chyba zbyt dalekim od prawdy, ... związku z tą zmianą skonstatuję ... Kościoła Zjednoczonego nadmiar ża... i ekspansji w uprawianiu winnicy P...

Przemysław Mącz...

OGROMNE PODATKI WE FR...

Gdyby potrzeba było jeszcze dow... Francja ma wszelki powód domagania ... szkodowań od Niemiec natarczywie, to ... cza go fakt, że w Izbie Deputowanych ... finansów p. de Lasteyrie przedstawił w... podwyższenie i tak już wysokich pod... nie mniej jak 20 procent. Odnosi się to ... no do podatków pośrednich jak bezpo... z wyjątkiem podatków od zapracowan... chodów. W swem memorandum ministe... za przekonanie, że tym sposobem da się ... obecny deficyt państwowy, wynoszący ... ljardy pięćset miljonów franków. Na ... we podatki mają zobowiązywać tylko ... i, jak mówił minister, „Rząd nie będzie ... się do tego środka skoro tylko otrzyma ... leżne sumy reparacyjne od Niemiec". ... krytycznie zapatruje się na ten projek... by Niemcy nie były zawiodły Francji, ... by ona miała takiego deficytu, który, ja... lowy, należało raczej pokryć teraz dro... czki.

że znaczenie, komisja międzyministerjalna, powołana do zdecydowania tej sprawy wypowiedziała się za przekazaniem tych szop Ministerstwu Przemysłu i Handlu.

Ostatecznie losy szop ostrogskich mają być zdecydowane na konferencji Pana Ministra Przemysłu i Handlu z Panem Ministrem Spraw Wojskowych.

rodzaju.

ZAGRANICA

POŁOŻENIE PRZEMYSŁU ROSYJSKIEGO

Dopiero teraz przenikają do prasy zagranicznej wiadomości o stanie gospodarczym Rosji współczesnej, oparte na danych X

warzyszenie pod nazwą „Ostverein", mające na celu handel ze wschodem Europy. Zawiódłszy się w swych nadziejach na Rosję, włączyła w rejon swej działalności Polskę i Rumunję i rozpoczęła już działalność na Bessarabji.

Przed dwoma miesiącami był w Kiszyniowie przedstawiciel Ostverein'u, omówił

A wszakoż i tu trzeba rozważnego umysłu i jako go poznać, a poznawszy jako ji sobie ważyć a strzedz tego, aby nigdy nie był nikczym obruszon. Abowiem wierz mi, iż to nie leda węzeł, niżli sobie prawego przyjaciela postanowisz. Bo jako go ty próbować chcesz, wierz mi, że i ty długo u niego na próbie być musisz

M. Rej

(Żywot człowieka poczciwego 1567).

żnej rodziny przy dzisiejszej stopie zarobkowej. Oszczędza się łatwo 3, 5, nawet 10 tys. marek, ale z trudem 55 tys. lub 275 tys., jak przy 50-złotowym odcinku.

Narada wszystkich byłych ministrów skarbu w Belwederze orzekła, że teraz nie można marzyć o wprowadzeniu waluty złotowej i że jesteśmy skazani na topienie się

Skoro normalna waluta złotowa nie może jeszcze być wprowadzona, bo nie ma ani banku emisyjnego, ani zapasów kruszcu, należy co prędzej uchwalić złożoną już Sejmowi ustawę czekową i pozwolić na posługiwanie się w obrocie czekami, opiewającemi na złote polskie.

Czeki na sumę 1, 5, 10, 50, 100 i 1.000

JENERAŁ JÓZEF BOSAK-HAUKE

LATA 1863 — 64 I 1870 — 71.

Był to już schyłek powstania.

Polska krwawiła się jeszcze ciągle pod naciskiem hasła Napoleona III wytrwania do najliższej wiosny i doczekania się złudnej, lecz oczekiwanej jeszcze ciągle interwencji europejskiej, owego klasycznego „Durez", wiszącego nad Polską niby krwawy nakaz. Ale były to już resztki krwi, resztki energji. Dyktatura Romualda Traugutta była właściwie już tylko rządem przedłużenia konania ruchu, i trzeba było ludzi tak niepospolitych, jak Traugutt i jego współpracownicy, aby zapewnić zamierającemu ruchowi jeszcze bodaj kilku miesięcy trwania, wobec rosnącego wyczerpania sił fizycznych i moralnych narodu.

Do składu owych niepospolitych ludzi wszedł Hauke-Bosak.

Chodziło o to, aby w braku istotnej siły, którą powstanie nie rozporządzało, wytworzyć jaknajdalej idące jej pozory. To właśnie zadanie stworzenia i jaknajdłuższego kontynuowania fikcji powstańczej, zdolnej wywołać wreszcie upragnioną interwencję Europy, wziął na siebie i po mistrzowsku zdołał przeprowadzić Bosak. Powstanie w drugiej połowie r. 1863 rozporządzało już tylko niedobitkami sił zbrojnych, tułających się przeważnie po lasach i uchodzących przed pościgiem przeważających sił moskiewskich. Niedobitki te poddał Bosak jeneralnej reorganizacji, zarządzając kupienie się ich w regularne jednostki bojowe.

Tak w ramach gasnącego już powstania zaczęły powstawać niespodziewanie zupełnie porządne formacje, jak nawet korpusy i dywizje. Pod szumnemi temi nazwami próżno było wprawdzie szukać treści, treści takiej, jak w wielkich armjach stałych, jednakże improwizowaną swoją armję potrafił Bosak tak znakomicie wyćwiczyć i tak po mistrzowsku nią operować, że owe na pozór teatralne dywizje i korpusy, obliczone, zdawało się, tylko na wywołanie efektu za granicą i podtrzymanie trochę ducha w samem społeczeństwie, w rezultacie kilkanaście razy, jak np. w większej bitwie pod Opatowem, poprowadzone w bój przez Bosaka, porządnie przetrzepały Moskali. Bosak walczył w Krakowskiem i Sandomierskiem bądź sam, bądź w spółce ze znakomitym partyzantem Zygmuntem Chmielińskim, mając przeciw sobie przeważające siły moskiewskie, na których czele stał zajadły nasz wróg, zrusyfikowany cygan madziarski, Czengjery, a dziwnym zbiegiem okoliczności pod komendą tego Polaka, który w osiem lat potem miał oddać życie za Francję, walczyło w tej schyłkowej właśnie fazie powstania kilku Francuzów, jak Montegu, Vigier de Latour i t. d. Podczas tego prowadził Bosak dalej swe dzieło ciągłego przegrupowywania powstańczych sił zbrojnych, a chociaż nie można było łudzić się na serjo, aby dało się z nieszczęsnego kraju wydobyć siłę, którąby można było skutecznie przeciwstawić potędze moskiewskiej, to jednak rzeczy w tej dziedzinie przybrały taki obrót, że w marcu 1864, więc po czternastu miesiącach uporczywej i wyczerpującej walki powstanie miało jeszcze 4000 ludzi pod bronią, a Bosak zupełnie poważnie myślał o proklamowaniu w całym narodzie na wzór odwieczny pospolitego ruszenia przeciw moskiewskiemu zaborcy. Daje to miarę pomysłowości i zapału młodego wodza.

Tak zbliżył się kwiecień 1864, druga już wiosna tej jedynej w swoim rodzaju walki wielkiego mocarstwa z garścią bohaterów.

Dla Moskwy oddawna już było grubą kompromitacją polityczną, iż nie potrafiła sobie dać rady z tak w gruncie rzeczy słabym i niby ciągle zwyciężanym, a przecież na nowo odżywającym „buntem" polskim. Lecz podczas, gdy Bosak z największym tylko trudem, a raczej cudem jedynie wyczarowywał swoje wciąż nowe dywizje i korpusy, to Moskwa miała przecież niewyczerpane zasoby ludzi na obszarze największego i najludniejszego kraju Europy i dość było sięgnąć naprawdę do niewyczerpanych rezerw caratu, aby odnawiające się ognisko polskie zalać samą liczbą żołnierza. Jakoż do tego ostatniego niezawodnego argumentu odwołano się. Uderzono w skałę moskiewską i wydobyto z niej taki straszliwy zalew, że dłuższy opór stawał się z każdym dniem wobec elementarnej tej siły trudniejszym.

W maju r. 1864 można było już powstanie uważać faktycznie za wygaśnięte, a Bosak widział się zniewolonym przejść na pobliski teren galicyjski. Po niedługim pobycie w Krakowie znalazł się Bosak w Dreźnie, gdzie gromadziła się pierwsza faza emigracji popowstaniowej w tej liczbie wybitni działacze ubiegłej epoki, i gdzie powitano z powszechną czcią ostatniego wodza walki narodowej. Dla Bosaka rozpoczęła się teraz paroletnia tułaczka emigracyjna po Saksonji, Szwajcarji, Francji, Włoszech w znacznej części wypełniona pracą narodową wśród narastającej liczebnie popowstaniowej kolonji polskiej, lub w gronie wybitniejszych emigrantów, którzy mimo świeżej klęski z natury rzeczy nie przestawali zastanawiać się nad ewentualnem ukształtowaniem się dalszych losów ojczyzny.

W takich okolicznościach wybuchła wojna Francji z Prusami, przyszła katastrofa Sedanu i ogłoszony został we Francji rząd republikański. Lawina tych wypadków nigdzie poza Francją nie sporuszała tak umysłów, jak w Polsce i wogóle w polskich środowiskach. Rzeczy francuskie oddawna miały szczególny przywilej poruszania do głębi serc i umysłów polskich, ku Francji zwracały się oczy polskie tradycyjnie już, w oczekiwaniu jakiejś akcji, któraby ojczyźnie naszej dopomogła odzyskać stracone wśród ludów stanowisko, a pogrom sedański odczuty został przez cały naród polski, niby własna katastrofa. Po Sedanie bez Francji przedwojennej „zimno i ciemno zrobiło się w Europie", a więc przedewszystkiem zimno i ciemno nieszczęśliwej, opłakującej także własną klęskę Polsce, według pięknych słów Juljana Klaczki wypowiedzianych w ówczesnej izbie sejmowej lwowskiej. Wśród opłakujących nieszczęście bratniego narodu nie mogło brakować i Bosaka.

Do głębi poruszyło Bosaka ogłoszenie we Francji rzeczypospolitej i próba zerwania się jeszcze raz do broni za pomocą armji ochotniczej. Na czele tej ostatniej znalazł się powołany przez Rzeczpospolitą Francuską stary lew rewolucji europejskiej, Józef Garibaldi, którego Bosak poznał osobiście na Caprerze już po powstaniu i z którym nawiązał serdeczne stosunki. Bosak był rewolucjonistą typu roku czterdziestego ósmego i z przekonania gorącym republikaninem, nawet doktrynerem. Jako Polak kochał Francję. Te dwa pierwiastki połączyły się w nim, aby zaprowadzić go pod francuskie sztandary. Postanowił, nie mogąc tymczasem dać siebie w ofierze własnej ojczyźnie, walczyć i choćby zginąć za Francję.

Garibaldi powitał z radością bohaterskiego wodza polskiego i powierzył mu odrazu dowództwo pierwszej brygady armji ochotniczej w Wogezach. Tę sztukę wojenną, którą posiadł Bosak niegdyś na Kaukazie w mundurze rosyjskiego pułkownika, a którą rozwinął i w której wydoskonalił się na ziemi ojczystej, sztukę „małej wojny" przyniósł Hauke teraz w darze Francji. Dar to był szczególnie cenny, gdyż bardziej, niż w jakiejkolwiek innej gałęzi sztuki wojennej, w tej wchodzi w grę męstwo osobiste. Bosaka cechowała na polu walki nieustraszona odwaga, to też przykład jej wobec nowego nieprzyjaciela dał zaraz na wstępie w bitwie pod Neuvon, atakując ku zdumieniu i przerażeniu żołnierzy francuskich sam jeden baterję nieprzyjacielską.

Operacje Bosaka jednak nie trwały długo. Pewnego dnia wczesnym rankiem — było to 21 stycznia 1871 — w towarzystwie kilkunastu tylko oficerów i żołnierzy wybrał się Bosak na rekonesans dla osobistego przekonania się o zbliżaniu się nieprzyjaciela w dolinie Susson. Okazało się, że nieprzyjaciel zbliża się w nieporównanej przewadze, przechodzącej siły francuskie. Wówczas postanowił Hauke, przed nadejściem oczekiwanych posiłków, rzucić na Prusaków popłoch, decydując się zaatakować ich z szaloną brawurą. W pewnym momencie dwie kule pruskie ugodziły w Bosaka. Jedna uderzyła w rękę, w której trzymał szablę, druga przeszyła mu pierś.

— En avant mes enfants! — wołał bohater polski, oddając ducha za Francję.

Cała Francja płakała nad grobem Bosaka. W rozkazie dziennym do armji francuskiej Garibaldi poświęcił Bosakowi pełne entuzjazmu wspomnienie, nazywając go zaszczytnie „Leonidasem nowoczesnym". Niemniej gorące słowa pamięci poległego bohatera poświęcił w piśmie, skierowanem do rodziny nieboszczyka, Gambetta imieniem Rządu Rzeczypospolitej. W chwili składania w ziemi francuskiej zwłok jen. Bosaka Polacy, odprowadzający na wieczny spoczynek szczątki swego ukochanego bohatera, którego za Francję poświęcili, wznieśli z pełnych piersi okrzyk:

— Vive la Republique Francaise, une et indivisible!

„Leonidas Wogezów", a bohater z pod Opatowa, spoczął na ziemi szwajcarskiej, w oczekiwaniu zapewne osób najbliższych i rodaków, oddających mu pośmiertną posługę, że zwłoki wodza odbędą jeszcze jedną, ostatnią podróż: do grobowca w wolnej Polsce. Zanim to stałoby się kiedyś staraniem czynników ku temu powołanych, niechajby niepodległa ojczyzna w osobie np. swego przedstawiciela wojskowego „na wolnej ziemi Helwetów", na której stanęło już tyle zaszczytnych dla nas monumentów, wzniosła ten nie najmniej zaszczytny monument, którybv głosił światu, że wódz, który przywodził ostatniej walce o wolność Polski, zginął za bezpieczeństwo, całość i honor Francji. Niechby ofiarna jego krew, krew „Leonidasa Wogezów", w późne pokolenia przemawiała za Polską do serc francuskich.

Antoni Chołoniewski.

Rzeczypospoli

„W jednym
siedzi ... n
który skradł:
4 funty mydł
2 funty cukru
3 dziecinne t
(Cztery funty
dziecinne trykoty
Skradł w r.
służbie, jako k
czworo dzieci, l
landzkiej wyciągn
i 3 dziecinne tr
rażne, więc zośt
więzienie i posz
czworo dzieci
ni): porozdawa
ła rozwód ze s
mąż...

Coś to jest
kradzieża to nie
funty powinien
choćby dla czw
Bezwarunkowo.
iony na dożyw
nej ochlokracji
paskarzy, defra
parweniuszów n
wych restauracja
kiem samych kr
teatrach cytują
ników...

Coś to jest n
Wielu ludzio
Polsce ohydna k
sprawiedliwości
większy od Kośc
że historja wyn
mierzy wedle m
Edward Peter, k
wnuk kolonisty
dniarz" z miejsc
się już nie ujmie
gle, długie lata
szlochając nocą
oderwali od żon
siaków, oderwali
tylko, że dla ni
ciepłe trykotki..."

Rzeczywiście
ku"... Czy ten
zamieszczony w
rodowej", jeden
wręcz najpiękn
szego człowieka
rach miarodajn
nacjonalistyczn

munistyczno-na-
ny rząd Sikor-
. Zupełnie w
my cyrkowej.
wielki wąż afry-
wił się na „are-
Europy i pr
szych czach!
ie od łowy do
odwrotnym po-
się, by połknąć
rski rząd jen.
owna publi-
cjonalistyczno-
lej bez końca.
Zast.

WSKICH

ach sejmowych
polskiego dzień
wie „Tagblat"
obszernie z pra-
ejmie i z wido-
a żydów.
e o „codziennej
władz i walce z
". Robota ta
w wielkie dzie-
posłowie żydow-
ale też „niema
wali skromnych
ci swych dzia-
woleni z rezul-

ia poszczegól-
na plan pierw-
zędników pań-
Vschodniej. W
zieję, że rychło
ilnie.
arstwo żydow-
izieł, a przytem
terminu pre-
ynajmniej szyn

(?) żydowsey
sji". „Minister-

oni sami siebie, podkreślając swą obcość na całej linji. A logicznym wynikiem tego wszystkiego jest oczywiście to tylko, że żydów traktować należy tak, jak oni sami siebie traktują: za „przechodniów", którzy ciągną zyski z gościnności gospodarza, ale niczem się nie przyczyniają do jego dobrobytu i zabezpieczenia przyszłości. —ki.

78d

ŁOFOTY DNIA

PRAKTYCZNA RADA

Przed paru dniami dzienniki w kronice policyjnej doniosły o nastepującym wypadku. Jakaś pani kupiła w sklepie żydowskim funt orzechów i zapłaciła za nie 2200 mk. Powróciwszy do domu przypomniała sobie, że potrzebny jej jest jeszcze jeden funt orzechów i wysłała po nie natychmiast służącą do tego sklepu.

Tymczasem jednak w ciągu tej godziny orzechy podrożały i służąca musiała już za funt zapłacić 2500 mk. O zajściu tem spisano policyjny protokuł i pomysłowego żydka pociągnięto do odpowiedzialności.

Było to przed 10 dniami. Od tej pory sytuacja bardzo się zmieniła. Dziś już nikogo nie dziwi wzrost cen w ciągu jednej godziny. Przywykliśmy już do tego nowego, paskarskiego zwyczaju, jak się przywyka do kataru, przepełnionych tramwajów warszawskich, występów Jastrzębca i bujnej fantazji „Kurjera Porannego". Dzienniki przestały już na ten szczegół orgji drożyźnianej zwracać uwagę, a policja spisywać protokóły. Żydek z Nalewek, który podwyższył ceny w ciągu jednej godziny stał się prekursorem całego zastępu nowego typu paskarzy.

Doszło już do tego, że wchodząc do jakiegoś sklepu staramy się gorączkowo, jak najprędzej załatwić sprawunek, aby przez czas naszego namysłu cena nie poszła w górę. O jakiemś przebieraniu towarów, czy targowaniu się oczywiście mowy nie ma.

Bierzemy co jest pod ręką, płacimy i uciekamy ze sklepu, zadowoleni, że podczas pakowania kupionego towaru, czy czekania w ogonku przed kasą nie kazano nam dopłacić.

— Wielkie rzeczy — rzekł drugi — przecie się nam nic nie stało... Wiesz co teraz wjedziemy w tę parkę na dole.

I w tejże samej chwili młodzi sportowcy na saneczkach rozbili w puch mocno przyciśniętą do siebie parę młodych ludzi, szepcących sobie coś niecoś do ucha. Zrobił się zaraz wielki krzyk, gdyż poszkodowany mężczyzna miał, jak na złość laskę, której prawidłowe użycie wywołało niepokój wśród młodych sportowców. Był to niewątpliwie człowiek nie mający najmniejszego zrozumienia dla rozwijającego się sportu saneczkowego w Łazienkach.

W miarę jak zbliżałem się do pałacu łazienkowskiego pejzaż stawał się bardziej uroczy.

Przed jakąś smukłą i wiotką tują, nie osypysem cudnie okrytym okiścią śniegową stał urzędowo jakiś chłop z sękatym drągiem i strącał pracowicie z niego śnieg.

— Czego tak walicie tym drągiem w to biedne drzewo?

— A bo panie śnieg duży, to się gałęzie łamią... Dowiedziawszy się prawdy uspokoiłem się zupełnie, gdyż widząc jego pracę z rozmachem, byłem najmocniej przekonany, że każde uderzenie drągiem w delikatne drzewo łamało znacznie większą ilość gałązek, niż śnieg na nich leżący.

Idąc dalej spostrzegłem na ławce jakąś skuloną postać przysypaną śniegiem mocno wywijającą pędzlem po płótnie.

Jakiś stróż z miotłą widząc, że się przypatruję temu zjawisku, puścił na mnie dużą kiszkę pary i rzekł, mrugając prawem okiem:

— Takich to nawet mróz nie strzyma!... I to jest porządek? Jak ja miotłą, to on pędzlem, ale on potem to sprzeda! Żeby Ci pędzel zamarzł za moją krzywdę!"

Rustan.

stworzył sobie w twardym uścisku naporu z zachodu i z wschodu, państwo i życie własne, odzyskawszy po najcięższej, choć nie pierwszej, w ciągu tysiąclecia, próbie stu pięćdziesięciu lat niewoli, znowu był niepodległy, chce być u siebie gospodarzem.

Bo przecież i dzisiaj, kiedy to państwo, męką kilku pokoleń wyczekiwane i wskrzeszone, wśród wielu i wielkich przeciwności ustala się w posadach, musi być jakaś siła twórcza, która za losy jego weźmie odpowiedzialność.

Tą siłą w państwie, w którem obok narodu polskiego jako znacznej większości żyją także inne narodowości, ale które jest i może być tylko państwem polskiem, albo nie będzie niczem, jest i odpowiedzialność tę wziąć może na się tylko większość polska. Inne narodowości nie mogą być ani uciskane ani wyłączone z życia obywatelskiego. Ale odpowiedzialność za losy tysiącletniego państwa polskiego składać na żywioły politycznie nieukształtowane, których stanowisko wobec tego tysiącletniego państwa jeszcze przed rokiem było i jeszcze ciągle jest conajmniej niejasne, byłoby szaleństwem i samobójstwem. Mniejszościom narodowym należy zapewnić spokój i prawa obywatelskie, ale odpowiedzialność za państwo musi wziąć na się większość polska, co jest jej dobrem prawem i jej świętym wobec przeszłych i przyszłych pokoleń obowiązkiem.

Gospodarzem musi tu być naród polski przez większość polską.

Ta wielka sprawa istnieje. Nikt się tego nie zapiera i nikt też tego nie zdoła zasłonić. I tylko w związku z tą sprawą stało się to, co nazwiska Narutowicza i Niewiadomskiego mówią dzisiaj i co zawsze mówić będą.

Dnia 9-go grudnia 1922 przyszło do rzeczy wielkiej, oczekiwanej z biciem serc, jaką był wybór pierwszego Prezydenta wskrzeszonej Rzeczypospolitej. W pierwszem głosowaniu miał ś. p. Narutowicz 62 głosów polskich a p. Maurycy Zamoyski 222 głosów polskich, w przedostatniem głosowaniu dostaje się ś. p. Narutowicz do rozstrzygnięcia 103 głosami Żydów, Niemców i Ukraińców i tylko 68 głosami polskimi przeciw 224 głosom p. Zamoyskiego, a w osta-

nas działa tylko wysokość przestępstwa, a nie jego podstawa.

Od pewnego czasu łapa administracyjna konfiskuje numery czasopism o barwach narodowych i zamyka w więzieniu autorów. Ponieważ tych aresztantów jest niewielu, przeto oprócz zażaleń w dziennikach, inne protesty się nie odzywają. A jednak warto zauważyć, co to się w Polsce pod tym tytułem dzieje i na co my obojętnie patrzymy.

Upływa właśnie 500, wyraźnie: pięćset lat od czasu, kiedy za Jagiełły w księdze praw obywatelstwa polskiego zapisana została ta wielka zasada wolności: „nikogo więzić nie będziemy, o ile nie jest przekonany prawem". Żaden inny naród w świecie nie nadał osobnikowi tak szerokiego samorządu i nie ubezpieczał go tak od zamachów na jego swobodę ze strony państwa, jak polski. Śród największych niebezpieczeństw, wymagających ustępstw i ofiar z praw jednostkowych, nawet wtedy, kiedy wynaturzony kult wolności przerodził się w umiłowanie samowoli, grożącej ogółowi zagładą, jego czciciele nie przestawali go bronić.

I oto ta Polska, która wyżej ceniła niepodległość obywateli, niż niepodległość państwa; ta Polska, która w liberum veto urzeczywistniła najskrajniejszą zasadę swobody wyrażoną przez Milla w twierdzeniu, że gdyby jeden człowiek miał inne przekonania, niż całe społeczeństwo, ono nie ma prawa gwałcić jego opinji; ta Polska, która konając trzymała w zaciśniętej kurczowo dłoni sztandar wolności osobistej — patrzy dziś na to, że jej właśni rządowcy konfiskują poważne rozprawy publicystyczne, jak kradzione rzeczy i więżą ich autorów, jak złapanych na gorącym uczynku rzezimieszków. Najzwyklejszy tokarz powie wam, że nie każde drzewo nadaje się do pewnego wyrobu; najzwyklejszy ogrodnik objaśni, że można zaszczepić gruszki na wierzbie; najzwyklejszy hodowca upewni, że koń mięsa jeść nie będzie; tymczasem my często odmawiamy historycznie rozwiniętemu narodowi tych nieodłącznych od jego natury właściwości, które uwzględniamy w drzewie lub koniu. Jakiś pierwszy lepszy koncypient lub auskultant galicyjski, jakiś w szko-

sądu, a jeśli chodzi o winowajcę inteligentnego, wypala mu piętno hańby na czole i oddaje sądowi dla zakucia w kajdany i zamknięcia w celi. To jest najbardziej uproszczona i najzwyklejsza procedura instygatorów zarówno w policji urzędowej, jak w dziennikarskiej. Zastosowano ją także do E. Niewiadomskiego.

Tu wstawię nawias. Ponieważ jeden z czytelników zażądał ode mnie publicznie wyrażonego o tym wypadku zdania, więc skracając je możliwie, powiadam: jest to zjawisko bardzo znane, że ile razy w społeczeństwie spotęguje się mocno pewien nastrój uczuciowy, zawsze znajdą się jednostki chorobliwie wrażliwe, idealnie sfanatyzowane, mistycyzmem napojone, które słyszą zewsząd skierowane ku sobie głosy prośby, zachęty lub nakazu, wzywające do wyładowania czynem tego nastroju, do wykonania, jak gdyby woli społecznej. E. Niewiadomski był taką jednostką, należał do tego samego rodzaju, co Brutus zabijający Cezara lub Karolina Corday, zabijając Marata. Oni — jak sami wyznali — także słyszeli te głosy, także uważali się za mścicieli narodu. Tu kończę nawias.

Z innej strony, ale również z poważnym celem starał się zanalizować czyn Niewiadomskiego Nowaczyński. Zamiast wołać: stójkowy! rewirowy! ochrana!, usiłował dokonać analizy psychologicznej. Za to zrewidowano mu mieszkanie, zabrano rękopisy i zamknięto w więzieniu. Sąd państwowy, przed który wytoczono sprawę, uwolnił oskarżonego od wszelkiej winy, czyli powiedział skarżącemu, że jest głupi. Trzeba istotnie głęboką wdzięcznością uczcić trybunał za obronę tym wyrokiem godności narodu, który w swem dziedzictwie historycznem jako najcenniejszy skarb otrzymał w spadku wielkie umiłowanie wolności. Prochy w trumnach przodków naszych zawrzałyby, gdyby do nich przeniknęła wiadomość, że obecne pokolenia w zmartwychwstałej Polsce pozwalają policji decydować, jak mają myśleć i co głosić jej genialni pisarze. Niestety, my przed pięciu wiekami wyprzedzaliśmy inne narody w pojmowaniu wolności; dziś, mając rządy z tych żywiołów, które chrypną od wrzasków na jej

śniej, niż po strąceniu z tronu panującego wszechwładnie w rozmaitych postaciach nad wskrzeszoną Rzecząpospolitą jego królewskiej mości umysłowego chama.

Aleksander Świętochowski.

PROCES W MOGUNCJI

Wielkie zainteresowanie wzbudził we Francji, jak zresztą i w całej Europie, proces przeciwko przemysłowcom niemieckim z okupowanego Zagłębia Ruhry, który za systematyczny opór, stawiany władzom okupacyjnym, zostali pociągnięci do odpowiedzialności przed sąd wojenny.

Rozprawie sądowej, która się odbyła w Moguncji, przewodniczył pułkownik Debeugny, skarżał kapitan Bodin, obronę wnosili adw... ci: Grimm i Wallach z Essen, Friedmann z ...lina, Neumann z Moguncji i Leclerc, obrońca z urzędu, powołany z Nancy. Na ławie oskarżonych zasiedli przemysłowcy: Thyssen, Ke... Wuestenhofer, Tengelmann, Olfe i Spindler.

Po odczytaniu aktu oskarżenia zapytał przewodniczący Thyssena, czy przyznaje się do winy, polegającej na odmowie zadośćuczynienia legalnemu rozkazowi władz okupacyjnych, tyczącemu dostawy węgla, co się stało w Br...ney dnia 18 stycznia. Na pytanie to Thyssen odpowiedział twierdząco, poczem oświadczył:

— Jestem Niemcem i obowiązkiem m... jest podleganie rozkazom mojego kraju. W... czenie wojska do Ruhry nie jest oparte na ...nych zasadach prawnych i dlatego pragnę trwać w wierności do mojej ojczyzny.

Następnie Thyssen stwierdził wobec s..., że byłby wykonał nakaz władz okupacyjnych, gdyby nie otrzymał przeciwnego rozkazu swego rządu, który zawierał wyraźne w t... względzie wskazówki. Wszyscy oskarżeni przyłączyli się do oświadczenia Thyssena, pocz... sąd przystąpił do badania świadków, którzy ze strony niemieckiej zgodnie stwierdzali prawdziwość wywodów Thyssena, ze strony francuskiej zaś fakt jego oporu biernego wobec zarządzeń władz okupacyjnych.

Oskarżał kapitan Bodin, opierając się na art. 42 i 43 aneksu do konwencji haskiej

Po wywodach obrony sąd wojskowy ogłosił wyrok, na mocy którego zostali skazani: Thyssen na 5100 franków grzywny, Kesten na 15... fr., Wustenhofer na 8640 fr., Tengelmann ... 6020 fr. Spindler na 47.752 fr. i Olfe na 224.6... fr. grzywny. Sumy te odpowiadają ściśle wart... ści dostaw węglowych, jakie ciążyły na oskarżonych, a które jednakże wykonane nie były.

Oskarżeni natychmiast po załatwieniu wszystkich formalności odzyskali wolność.

R.

umieli uszanować tej - bądź co bądź - wielce interesu-
jącej korespondencyi, mogącej być ciekawym przyczyn-
kiem do historyi rodziny Battenbergów.
Po śmierci pierwszej żony, Piotr Steinkeller, mając już
dorosłe dzieci, poślubił siostrę stryjeczną mej matki,
bogatą i słynną z piękności ellatyę

Kamieńską, córkę Benedykta z Zagórza. Odtąd datują się nasze stosunki wielkiej, serdecznej zażyłości z rodziną Steinkellerów. Ciotka Marya, w przeciwieństwie do mojej matki miała usposobienie flegmatyczne i w stosunkach z obcymi ludźmi nadzwyczaj chłodne. W gruncie duszy była to kobieta szlachetna, dobroczynna i rozsądna. Z dorosłymi pasierbami i pasierbicą żyła w niczem nigdy niezmąconej zgodzie i przyjaźni, dla wiele starszego męża szczere miała przywiązanie i umiała w nim cenić wartość moralną i wysoką inteligencyę. Z tego związku mieli wujostwo jedynego synka Henryka, mojego rówieśnika. Był to ładny, żywy chłopczyna, niezmiernie bystry, miły i serdeczny dla rodziny, tak jak jego ojciec

chciał za towarzysza Francuzika Davio. Tworzy-
liśmy razem nierozłączną trójkę za każdą
bytnością wujostwa w Krakowie. Francuza
sierotę, zjednaliśmy prędko dla Polski i zwycza-
jów naszych — chłopak czuł się jak wśród swej
rodziny, bo oboje wujostwo nie czynili różnicy
w wychowaniu obu dzieciaków a Davio pozostał
im wdzięcznym gdy dorósł i wrócił do Francyi.—
Piotr Steinkeller był intellektualnie i fizycznie
człowiekiem nad zwykłą miarę; wzrostu bardzo
wysokiego, chudej postaci, twarz miał o rysach
ostrych, orlim nosie i oczach bystrych. Odzna-
czał się wykwintnością stroju, nosił półfrak,
białą kamizelkę i takąż cienką, batystową

chustkę wiązaną na szyi. Światowiec w całem słowa tego znaczeniu, postacią przypominał trochę Anglika, lecz temu porównaniu przeczyła jego nadzwyczajna żywość w mowie i ruchach; zwłaszcza gdy nowy jakiś pomysł powstał w jego zawsze pracującym umyśle chciał i usiłował gorączkowo prawie przekonać słuchacza. Zapalał się do swoich projektów, które zawsze miały na celu dobro ogólne, podniesienie handlu, przemysłu i rolnictwa, ułatwienie komunikacyi, wyzyskanie skarbów naszej ziemi, ukrytych lub zaniedbanych. Z podróży częstych do Anglii, Francyi i Niemiec, jak pszczoła do ula znosił różne innowacye, dające się zastosować

w Polsce. Własnym, znacznym majątkiem rozpoczynał próby, zakładał fabryki, zapoczątkowywał kopalnie. Niestety, wówczas nie znalazła jego dobra wola i chęć gorąca podniesienia dobrobytu w zubożałym kraju, właściwego oddźwięku.. Małą garstkę ludzi znalazł ku pomocy.

W Król. Pol. zaporą do wszelkiego postępu był mu satrapa Paskiewicz – w Galicyi zacofanie, nieufność. Zapóźno spostrzeżono się, że to był pionier, jakiego krajowi było potrzeba; dziś jeszcze (r. 1918) mści się na nas opieszałość nasza. Kongresówka, mimo przeszkód, stawianych na każdym kroku przez wrogiego Paskiewicza, z kto-

nym Steinkeller miał odwagę podjąć walkę, poź-
niej wspomniała dobre zamiary jego, dziś tam
uczyniono, niestety, wielka, długoletnia, obecna
wojna zniszczyła prawie wszystko, lecz pamięć
i cześć dla Steinkellera Warszawa na zawsze za-
chowa.
Steinkeller mimo ogromu pracy zachował umysł
pogodny, miłą żartobliwość i humor. Paskiewiczo-
wi lubił się sprzeciwić czasem i figla wszechwładnemu
samowładcy i tym razem wypłatać. - Opowiadano mi,
że kiedy słynna awanturnica, tancerka hiszpań-
ska, Lola Montez, ulubienica króla bawarskiego
Ludwika I. (z powodu której w Monachium były
rozruchy) zjechała po europejskiej triumfalnej
turnee do Warszawy, jak wszędzie tak i tam

wywołując entuzyazm i tumult w teatrze,
Paskiewicz uważając Hiszpankę za niebezpieczną
rewolucyonistkę, postanowił pozbyć się jej z War-
szawy w ten sposób, że na drugi jej występ wy-
słał na parter swoje kreatury z nakazem wy-
gwizdania tancerki. Uwiadomiony o tem
Steinkeller zakupił galeryę na to przedstawie-
nie dla robotników jednej ze swoich fabryk;
urządzili taką klakę, że wszystkie gwizdki
zagłuszyli. Wśród frenetycznych oklasków
dokończyła Hiszpanka ostatni taniec, a uwia-
domiona, że u wyjścia z teatru ma być, jako
burzycielka spokoju aresztowana, okryta tylko
płaszczem, w baletniczym stroju, wymknęła się
tylnemi drzwiami teatru, wychodzącemi na

ul: Trębacką i schroniła się do domu Steinkellerów o kilkanaście kroków vis-à-vis, zkąd przebrana w suknię mojej ciotki, jako pani Steinkellerowa wyjechała w jej karetce z Warszawy i dostała się szczęśliwie do Niemiec i Bawaryi. Paskiewicz się podobno pienił ze złości. Awantura narobiła dużo wrzawy, lecz jakoś się to zatarło i pozostało bez złych następstw dla promotora klaki. Działo się to w r. 1847.
Piękna Lola Montez obdarzona została przez króla bawarskiego tytułem hr. von Landsfeld i ładnym pałacykiem, co oburzyło nawet oziębłych Bawarczyków, którzy w roku rewolucyjnym 1848 wygnali Hiszpankę z kraju. —

W królewskim zamku w Monachium, w t. zw. „Galerie schöner Frauen" widziałam piękny portret Loli, zakryty dyskretnie zieloną jedwabną zasłoną. (?) Musiała to być ognista niewiasta... Dziś trudno pojąć, że tego rodzaju „tokaterki" mogły wywierać tak wielki wpływ nawet na politykę. Inne czasy – inne pojęcia. — Daleko odbiegłam od opisu kochanego wuja Steinkellera, a przecież w umyśle i sercu dziecka zostawił on wzruszenie i niezatarte wspomnienie. — Powoławszy do życia wiele pożytecznych instytucyi w Warszawie i centrów przemysłu w Król. Pol. zapragnął Steinkeller także w okolicy Krakowa działać dla dobrobytu ludzi — bolał nad galicyjską biedą

tem więcej, że poznał się na bogactwie terenu tak bliskiego, jakim było Podgórze tuż za Wisłą. Pokłady gipsu, kamieniołomy na Krzemionkach, wyborna glinka do wyrabiania porcelany, znakomity piasek na szkło, bogactwo siarki i t. p. wszystko to nęciło Steinkellera do użytkowania. Przeniósł się więc na czas dłuższy do Krakowa, zapoczął kopalnie, zakładał cegielnie i fabrykę doskonałej dachówki i drenów, stawiał młyny amerykańskie, kaflarnie wyrabiające śliczne, białe piece, dając zarobek tysiącom ubogiej podówczas ludności. Sprowadził z Holandyi i Szwajcaryi wspaniałe krowy i ludzi fachowych do zakładania wzorowych mleczarni i stajni za-

rodowych. W Morawicy, majątku niejakiego Kwaska, założył stację doświadczalną kultur rolniczych. Sprowadzał i zwoził nasiona rozlicznych roślin pastewnych, nadających się do naszej gleby. W jego mieszkaniu, obok wspaniałych mahoniów, leżały nieraz kupy wszelakich jarzyn, olbrzymie marchwie, buraki i t.p. wszystko jak z ziemi obiecanej! Na biurku miał istny skład przeróżnych kamieni, kawałków gipsu, cegły i dachówki, woreczki z piaskiem co nas dzieci bardzo dziwiło, że pan Piotr tak zagracał piękne swoje mieszkanie.

Ruchliwość i pracowitość tego człowieka była zdumiewająca, na wszystko starczyło mu czasu. Umiał

dobierać ludzi do pomocy i umiał też tchnąć w nich ducha, który go ożywiał. Pełen zapału i żywości był człowiekiem łagodnym i wyrozumiałym. Nie zrażał się przeciwnościami i niepowodzeniem i pokonywał je z wytrwałością. Dziecinną prawie bywała radość jego, gdy mu się udało coś wyprodukować z kultur w Morawicy. Pamiętam, jak dnia pewnego pędził bez kapelusza przez ogrody do nas z czemś dużem, białem pod pachą i wpadłszy do pokoju z radością wołał: Patrzcie jak mi się udał „turnips." Była to kolosalna angielska rzepa pastewna, wyrosła w Morawicy. Kiej zaprezentował to dziwo w kuchni, gdzie ku-

charka rzepę nadgryzła, utrzymując że jest
słodka i smaczna (?)
Wuj Steinkeller lubił nadzwyczajnie dzieci;
mnie i moje kuzynki psuł swoją dobrocią. Każ-
dej chwili wolno nam było włazić przez okno
od ogrodu do jego mieszkania, albo wsiadać
do pięknych, biało wybitych karet w wozowni,
nieraz ze złoconemi lorzwikami, co się zapewne
stangretowi mniej podobało, lecz milczał...
Znaną była Steinkellera wspaniałomyślność
i dobroczynność. Przypominam sobie, że jeszcze
w r. 1848-9 mieli przytułek w pałacu St. rozbitki
z czasu rzezi galicyjskiej, jak państwo Wiktoro-

nie Boguszowie, panie Skalska i Rejowiczowa z synkiem, hrabianki Łączkowskie z domu. —

Ciotka Marya Steinkellerowa w gruncie duszy dobrą była kobietą, lecz w przeciwieństwie do męża, który porywał czarem swego obejścia odrazu, ciotka była trochę sztywna, małomówna, wiejąca chłodem, co nadawało jej klasycznej urodzie coś posągowego. Ogół uważał ją za dumną i nieprzystępną, lecz był to tylko pozór. W rodzinnych ściśle stosunkach ciotka S. była miłą, nawet serdeczną. Matkę moją kochała, ojca ceniła i lubiła bardzo a mnie darzyła dużą sympatyą. Nieraz głaszcząc mnie po bujnej czuprynie z westchnieniem mówiła: Chciałabym

mieć jeszcze córkę... a matka moja dodawała: Tylko ładniejszą od mojej. Obie brałam do serca przygany mojej chudej urodzie.

Każdy przyjazd wujostwa ożywiał mile dom nasz. Panie miały sobie tyle do opowiadania, cioci Maryni język się rozwiązywał; warszawskie wiadomości zajmowały moją matkę, zwłaszcza o rodzinie tam mieszkającej.

Przypominam sobie jak pewnego ranka chcąc powiedzieć cioci Maryni „dzień dobry" wdrapałam się od ogrodu do otwartego już okna jej pokoju; gdzie ujrzałam na parapecie z wielkiem przeraże-niem piękny warkocz cioci, spięty tak w kółko jak go zwykle nosiła. Wystraszona pobiegłam

do matki z wiadomością że ciocia włosy sobie obcięła. Matka i ciotka uśmiały się z mojej naiwności dziecięcej. Fakt ten notuję jako pierwsze moje odkrycie tajemnicy toaletowej w życiu.

Wuj Steinkeller umarł w Krakowie na tyfus w początku r. 1854. Ciotka z synem osiadła w Paryżu razem z siostrą Kamillą Mattranową. Do dalszych, niezwykłych losów obu tych pań później może jeszcze powrócę.

---

rok 1848

Opisując rodzinę Piotra Steinkellera, zapędziłam się aż po r. 1853 i powracam wstecz o lat blisko 5.

Rok ten, który wstrząsnął całą Europą, znalazł
oddźwięk krótki ale krwawy także w Krakowie.
Jako 5 letnie dziecko, nie pojmowałam oczywiście
zawikłań politycznych, ale pragnę opisać co moją
wyobraźnię dziecinną uderzało, jak i to co mi
później dopowiadano. – Pamiętam smutek rodzi-
ców moich na wieść o uwięzieniu stryja Tomasza
Mohra; widząc płaczącą matkę moją i nasze
poczciwe sługi i ja się rozbeczałam serdecznie
choć niecałkiem zdawałam sobie sprawę z grozy
położenia. Gdy z rozkazu hr. Stadiona zahuczały
strzały armatnie z Wawelu, skierowane na śród-
mieście, wybiegł mój ojciec z obowiązku lekarza
na miasto – również służba Heinkellerowska

aby zasięgnąć języka. Nam garstce pozostałych w domu nie przyszło nawet na myśl chować się do piwnicy. Matka uklękła przed starym obrazem M. B. Bolesnej, wiszącym nad jej łóżkiem i zaczęliśmy odmawiać modlitwę „Pod Twoją obronę" i psalm „Kto się w opiekę." Bramy domu były zamknięte a poczciwy stróż, stary Aleksy przechodził od jednej do drugiej odmawiając koronkę. Wróciła służba z wiadomością, że są ofiary w ludziach... Zaczęliśmy się niepokoić o ojca. Matka z Zosią, naszą dawną niańką chciały koniecznie pójść szukać ojca – stary Aleksy bramy nie chciał otworzyć, ja wyczałam żałośnie, trzymając matkę za suknię, słowem harmider powstał niemały z okoł

pamiętam tem huku armat i zgiełku docho-
dzącego z śródmieścia. Ochłonęliśmy trochę
jak ojciec powrócił, zmęczony, zakurzony, za-
walany, nic nie mówiący — dopiero umywszy
się, żywo począł opowiadać matce o wydarzeniach
godzin ostatnich, ale mówił po francusku, na
co się Zosia, podsłuchująca pod drzwiami, zży-
mała. Nie pomnę już jak to wszystko długo
trwało. Matka któregoś dnia wzięła się do kraja-
nia i szycia opasek biało niebieskich na ręka-
wy dla gwardyi narodowej, do której i ojciec na-
leżał. Rozśmieszył mnie, głupiuchne dziecko,
widok ojca przy starej szpadzie, która z rupieciar-
ni wydobytą i wyczyszczoną została. — Pewnie-

go rankiem wystraszony Aleksy przyniósł wiado-
mość, że Austryacy otworzyli więzienie św. Micha-
ła i że złodzieje całą kupą idą plantami od stro-
ny ul: Mikołajskiej. Powstał między babami po-
płoch nowy. Ojciec mój, który z urzędu swego
jako fizyk miejski, od czasu do czasu odwiedzał
więzienia, kontrolując czystość i odżywianie
więźniów, zwłaszcza chorych, potrzebujących lepsze-
go wiktu, nie trwożył się tym marszem na nasz
dom zbytecznie, zwłaszcza że złodzieje ustawili
się w głównej alei plant, wprawdzie tuż pod oran-
żeryą, ale w zupełnym porządku, jakby na kogoś
wyczekując, z cichym jakimś pomrukiem. Ojciec
postanowił wyjść do drzwi oranżeryi, ale matka

zwrócona, trzymała ojca za połę od surduta, a
ja znowu, becząc głośno, matkę za suknię, za na-
mi Zosia, chcąc mnie od matki oderwać. Tak
„gęsiego" szliśmy przez salę balową do owacyi.
Ojciec drzwi otworzył, matka stanęła przy ojcu,
ja z Zosią za niemi. Na widok ojca, wszyscy,
rzucając czapki w górę, wrzasnęli chórem: pan
fizyk Mohr, nasz dobroczyńca i sprawiedliwy
opiekun niech żyje! I nasza pani fizykowa
niech żyje! Ojciec za owację podziękował i do-
dał: Dobro, ale już idźcie dalej, a sprawujcie się
dobrze.... I rzeczywiście, choć to były wyrzutki
społeczeństwa, prostacy, pojęli dobrze cele, w ja-
kich austryacy ich wypuścili i na złość Niem-

com zachowali się wzorowo, nie czyniąc nikomu szkody.
Ledwie żeśmy ochłonęli z wrażenia tej osobliwej owacyi, alići od podwórza dał się słyszeć przeraźliwy krzyk chłopięcy. Pędzimy wszyscy do bramy i cóż zastajemy? Oto jakiś chudzina chłopak, korzystając z zajęcia się domowników sprawą na froncie domu, przedostał się szerokim, kamiennym ściekiem, umieszczonym w środku bramy zamkniętej, zapewne w celu zwędzenia czegoś, ale argusowe oko Aleksego wnet go dostrzegło. Chłopak rzucił się do odwrotu tą samą drogą i już wydostał się górną połową ciała na ulicę, kiedy Aleksy chwycił go za nogi i nuż okładać chłopca rzemykiem. Matka moja po-

wstrzymała bolesną egzekucję i po krótkiej nauce moralnej, zakończywszy obietnicą dania lepszych majtek otworzono bramę i chłopaka wypuszczono na wolność. Już się więcej nie pokazał. - Błahe są moje zapiski z roku, który zaciężył na losie całej Europy; mądrzejsi odemnie ludzie jego dzieje opisali.

Państwo Syktowscy.

Jakoś w tym czasie sprowadzili się do jednego z bocznych pawilonów państwo Syktowscy z jedynaczką córką, Stefanią, o 3 lata starszą odemnie. Oprócz sióstr stryjecznych, o których

już wyżej wspominałam, kochanej Wikci Sturm, której osobne wspomnienie poświęciłam, a które daleko od nas mieszkały, nie miałam towarzyszek bliższych dotąd, niemałą więc sprawiło mi radość, że będę miała w najbliższem sąsiedztwie miłą panienkę, czemu i rodzice bardzo radzi byli, znając już ze słyszenia wartość moralną nowych lokatorów. Różnica 3 lat w tak młodym wieku jest wprawdzie dość znaczną, mimo to lgnęłam do nowej towarzyszki serdeczną sympatyą; nie onieśmielała mnie jej o wiele wyższa inteligencya, tak zwana „uczoność", gdyż rozumna i dobra panienka nigdy się nad emnie nie wynosiła, jak to dzieci czynić lubią.. Stefcia uczęszczała na pensyę, wielce renomowaną na

ówczas pani Gibson, uczyła się już 3 obcych języków.' A ja zaczynałam dopiero „dukać" domaczenie francuskie dziełka p. Tańskiej. p. t. „Wiązanie Heleuki." Dobra i cierpliwa Stefcia, chętnie zniżała się do mego poziomu, a widocznie żadna z nas nie była tem, co zowią „zepsutą jedynaczką", skoro w dobrej harmonii, bez fochów i dąsów tak nieznośnych często u dziewcząt, upływały nam dni.
Okna mieszkania p.p. S. wychodziły na nasz ogród. Codzień zrana przykuwała moją uwagę żmudna procedura czesania przepięknych, ciemnych włosów Stefci; siedziała okryta jakby płaszczem, kładącym się na posadzce, z książką

w ręku, bełkocząc głośno coś po angielsku, co mnie, głuptasowi, wydawało się podobnem do głosu indyka... Podziwiałam cierpliwość starszej Dobrzańskiej w wykonywaniu trudnego zadania fryzyerskiego a równocześnie obżałowywałam biedną Stefcię, że tak brzydkiego języka uczyć się musi.
Pani Marya S. była to kobiecina mała, niepozorna, lecz pełna zalet najpiękniejszych charakteru, co przy wzorowej inteligencyi i znacznem wykształceniu umysłu, czyniło ją miłą wielce sąsiadką. Fenomenalną wprost miała pamięć, mianowicie w geografii nietylko własnego kraju, lecz, rzec można, świata

całego! Do dnia dzisiejszego (1918 r) kiedy mówimy się nad tem, gdzie to lub owo miejsce na kuli ziemskiej się znajduje, z żałosnem westchnieniem mówimy: To tylko kochana p. S. wiedziałaby.

Józef Sykstowski, komisarz starostwa, niezwykłą był postacią; odznaczał się wielką prawością, niezgiętym charakterem, zdolnościami umysłowemi ponad wielu zdolnych, który go w urzędowej karyerze prześcignęli...

W pożyciu domowem trochę despotyczny, wymagający i tetryk, co się rodzinie nie raz dawało uczuwać. Znany był z niepomiernej ciętości języka i bezwzględnej prawdomówności.

Nieszczęśliwa Galicya była w owe czasy zalana
przez austryaków wyrzutkami społeczeństwa,
zniemczonymi urzędnikami, czyhającymi na
ordery albo inne nagrody za „wierną służbę" (!)
Otóż istnym „biczem Bożym" na takie kreatury,
które gnębiły inteligencyę Galicyi i przygoto-
wywały grunt do szatańskiego dzieła ks. Met-
ternicha w r. 1846 był Józef S., który odzna-
czał się odwagą cywilną, nie w bawełnę nie o-
wijał a jego prawdomówności bali się tacy za-
przedani starostowie, jak niecnej pamięci Breindl,
Merkl i Berndt i inni, których nie chcę wy-
mieniać ze względu że pozostały u nas ich ro-

dzieci i żyją jeszcze ich wnuki i prawnuki — Sykłowski, jako prawy Polak, o ile w mocy jego było, krzyżował okrutne zarządzenia starostów i mandataryuszy; nieraz z narażeniem własnego życia wyrywał z rąk rozszalałej chłopskiej tłuszczy ich ofiary, ostrzegał dwory przed najściem band chłopskich, przez co uratował niejedno życie i mienie ludzkie. Czy S. szlachta wdzięczną pamięcią odpłaciła — nie wiem.... W dziełku swem p. t. „Cudzoziemcy w Galicyi" Łepkowski coś o S. zasługach wspomina, ale największą chlubą dla S. jest to, że nie posiadał austryackiego orderu ani łupu ze szlacheckich dworów i nie zostawił majątku, tylko na skromnem stanowisku komisarza starostwa doczekał

się emerytury.

Cześć jego poczciwej pamięci!

Stefania S. już w 18 roku życia rozpoczęła mozolny zawód nauczycielki prywatnej, najpierw w domu prof. Uniw. Jag. Józefa Kremera, kształcąc 2 jego córki, starszą Helenę, dzisiejszą prof. Rydlową, matkę poety ś. p. Lucyana Rydla i Maryę Stanisławową Smolkową, zmarłą przedwcześnie; później zajmowała miejsce w najpierwszych szlacheckich domach, jak u Glerwerów w Tursku w Król. pol., zaś w Galicyi u Zaklików, Torosiewiczów, Siemiginowskich i Romanów Rydlów w Mrzinach. Oprócz wytrze-

go wykształcenia posiadała Stefania S. rzadki dar życia się z otoczeniem swojem. Rozumna i wolna od wady małostkowości kobiecej, sumienna i obowiązkowa, stawała się wszędzie jakby członkiem rodziny, dzieląc złą i dobrą dolę całem sercem z ludźmi, wśród których żyła. Dziś jej elewki, kobiety pod siwym włosem, ich dzieci i wnuki spłacają jej dług wdzięczności niezmienną przyjaźnią i szacunkiem. Dziś w podeszłym wieku będąc i w skromnych żyjąc warunkach, które znosi z podziwienia godną cierpliwością i, że się tak wyrażę, z jakąś dostojnością i dumą, wszędzie gdzie się pojawi jest gościem miłym i pożądanym. Rozjaśnia

się w domu moim, gdy mnie ta wierna i szla-
chetna przyjaciółka odwiedza... Jestem dziś po-
dwójnem kalectwem obarczona, nie pretenduję
do atencyi ze strony znajomych moich, ale
czuję dobrze, że Stefcię kochaną mogę zaliczyć
do tych, których nie zdawkowe względy towa-
rzyskie, lecz rzetelne uczucie przyjaźni do mnie
wiedzie. Zachód życia naszego, ciężki i trosk
pełen, słodzimy sobie gawędą o przeszłości
i tak, da Bóg, dotrwamy do końca.

Uwaga: Dodać należy jako dowód mściwości austrya-
ckiej, że p. Zyktowskiemu po długoletniej służbie
dano tylko połowę emerytury

Spis rzeczy.